№ 86. Warszawa, dnia 13 (25) Października 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40. półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

ALFRED de MUSSET.

STUDYUM LITERACKIE.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 85*)

Ale późniéj z książek połknął truciznę, która stała się pokusą. Po pierwszym upadku czuł wyrzuty sumienia, lecz w księgach znalazł usprawiedliwienie swych czynów, zaczął je więc czytać tém chciwiéj. I wtedy wiara matek wydała mu się bigoteryą, rady ojca przestarzałemi i nudnemi, a on mówiący zawsze o wolności i równości, stał się najsroższym tyranem dla swego otoczenia. Rodzice umarli, a on pozostał sam—ze zwątpieniem w sercu;—zaczął używać, dopóki przeżyty fizycznie i moralnie w 30 roku życia nie zajrzał w kaletę swoją... próżną. Wtedy postanowił—życie sobie odebrać. „Praca!" wołał na niego Stróż Anioł—i tłum krzątający się na ulicach; ale on ani był w stanie pomyśleć o pracy—bo mu zabrakło wiary.... nawet w samego siebie. Bez wiary, nadziei i miłości, jak wypalony wulkan stał nad brzegiem grobu.... Jeszcze przed zgonem, chce po raz ostatni upoić się rozkoszą, w objęciach... sprzedanéj przez matkę dziewczyny. Lecz... teraz, w pobliżu wieczności, *myśli* po raz pierwszy od dawnego czasu—i ta wieczność przeraża go. Na co mu się przydadzą wspomnienia materyalistów, powtarzających, że całe życie człowieka polega na chemicznym procesie, że my niczém więcéj nie jesteśmy tylko udoskonalonemi małpami, że spadniemy jak owoc z drzewa, a ciała nasze przydadzą się zaledwo na nawóz dla uszlachetnienia owoców w polu? Na co—kiedy w chwili zgonu, inne myśli obsiadają mózg człowieka! Pyta się on wtedy drżąc i truchlejąc: jeżeli więc nie ma ani religii, ani Boga, ani duszy, ani wieczności—*więc cóż tam jest?* Poeta odpowiada:

„J'aime! Voila le mot, que la nature entière
Crie au vent qui l'emporte, a l'oiseau qui le suit!
Sombre et dernier soupir, que poussera la terre
Quand elle tombera dans l'eternelle nuit!"

„Kocham!" w całéj naturze słyszą głos jéj dzieci,
I wicher, co porywa, i ptak, co z nim leci;
Nim ziemia w wiekuistym pogrąży się cieniu,
Ten głos jeszcze raz jęknie w jéj ostatniém tchnieniu!

W chwili wykonania samobójstwa, Marya podaje mu—chcąc go ratować od nędzy—swój złoty krzyżyk, który od lat dziecięcych nosiła na piersi. I Rolla umiera, usta przycisnąwszy do ust Maryi... kochając chwilkę, raz jeden, i po raz pierwszy!

Noce należą już do epoki, w któréj duch poety dojrzał, stanąwszy na szczycie swéj chwały. Poetyczną idealnością przeniknione te strofy, ułożone w formie dyalogu między Muzą a Poetą.

„List do Lamartina" i „Nadzieja w Bogu" należą do ostatnich poezyj poety, poezyj nie dających się zapomnieć. Najsurowsza krytyka, posądzająca Musseta z razu o materyalizm, późniéj o wahanie się pomiędzy szyderczym sceptycyzmem a rzetelnym entuzyazmem, przyznaje przecież, że w wierszu: *„L'espoir en Dieu,"* staje na wysokości natchnienia, zaczerpanego w źródle bozkiém. Poeta dręczony myślą o wieczności, przechodzi wszystkie religie, lecz nie znajduje w nich zadowolenia, aż dopiero gdy wraca do wiary w jednego nieskończonego Boga. Gdyby żył teraz Horacyusz, Lukrecyusz i Epikur, zmuszony byłby poeta zawołać do nich:

„....Quoique nous puissions faire,
Je souffre, il est trop tard, le monde s'est fait vieux.
Une immense espérance a traversé la terre,
Malgré nous, vers le ciel il faut lever les yeux."

Choćbyśmy w ciało mogli oblekać zamiary,
Ja cierpię, już za późno, nasz świat już za stary.
Dreszcz niezmiernéj nadziei wskroś ziemi się toczy,
Mimowoli ku niebu wznieść musimy oczy.

Musset nie rozwiązuje zagadnienia, jakby go może rozwiązał głęboki duch Getego lub wszechstronność Bajrona,—ale śpiewa z duszy, z całém uczuciem naiwnéj a szczeréj świeżości poetycznéj;—i dla tego czytając ten wiersz, czujemy się głęboko wzruszeni, przebaczając mu to przedewszystkiém, że był nieodrodném dziecięciem swego wieku.

Z poetycznych jego produkcyj, wspomnimy tu jeszcze główny jego wiersz polityczny pod tytułem: „Le Rhin allemand," którym tak okrutnie pomścił nieubłagany bieg wypadków ostatnich. Jest to odpowiedź na ów wiersz niemiecki Beckera, zaczynający się od słów: „Sie sollen ihn nicht haben..."

Der deutsche Rhein.
Nicolaus Becker. 1840.

Sie sollen ihn nicht haben
Den freien, deutschen Rhein,
Ob sie wie gierige Raben
Sich heiser darnach schrein;

So lang' er, ruhig wallend,
Sein grünes Kleid noch trägt;
So lang' ein Ruder schallend
Noch seine Wage schlägt!

Sie sollen ihn nicht haben
Den freien, deutschen Rhein,
So lang' sich Herzen laben
An seinem Feuerwein;

So lang' an seinem Strome
Noch fest die Felsen stehn;
So lang' sich hohe Dome
An seinem Spiegel sehn!

Sie sollen ihn nicht haben
Den freien, deutschen Rhein,
So lang' dort kühne Knaben
Um schlanke Dirnen frein;

So lang' die Flosse hebet
Ein Fisch auf seinem Grund;
So lang ein Lied noch lebet
In seiner S nger Mund.

Sie sollen ihn nicht haben
Den freien, deutschen Rhein,
Bis seine Fluth begraben
Des letzten Manns Gebein!

Ren niemiecki.
Pieśń Mikołaja Beckera. 1840.

Póki Ren w cichym pochodzie
Kroczy w zielonéj odzieży,
Póki plusk wiosła po wodzie
Ucho przechodnia uderzy,—
Choć jako kruków rój głodny
Kracząc trzymacie tam straż,
Nasz Ren niemiecki, swobodny,
Nie będzie wasz!

Póki zagrzewa biesiady
Nadreńskie wino ogniste,
Póki unikną zagłady
Nadbrzeżne skały urwiste,
Póki w téj tafli pogodnéj
Świątynie widzą swą twarz,
Nasz Ren niemiecki, swobodny,
Nie będzie wasz!

Póki miłostek u młodzi
A śpiewak piosenką mami,
Póki się rybka w powodzi
Unosi robiąc płetwami,
Póki jeden nieodrodny
Wytrzyma brzegów tych straż,
Nasz Ren niemiecki, swobodny,
Nie będzie wasz!

Le Rhin allemand.
Reponse a la chanson de Becker. 1841.

Nons l'avons eu, votre Rhin allemand,
Il a tenu dans notre verre.
Un couplet, qu'on s'en va chantant,
Efface-t-il la trace altière
Des pieds de nos chevaux, marqués dans votre [sang?
Nous l'avons eu, votre Rhin allemand.
Son sein porte une plaie ouverte,
Du jour, où Condé triomphant
A dechiré sa robe verte,
Où le père a passé, passera bien l'enfant.

Nons l'avons eu, votre Rhin allemand;
Que faisaient vos vertus germaines,
Quand notre César tout puissant
De son ombre couvrait vos plaines?
Ou donc est-il tombé ce dernier ossement?

Nons l'avons eu, votre Rhin allemand.
Si vous oubliez votre histoire,
Vos jeunes filles, sûrement,
Ont mieux gardé notre mémoire;
Elles nous ont versé votre petit vin blanc.

S'il est à vous, votre Rhin allemand,
Lavez-y donc votre livrée;
Mais parlez-en moins fièrement,
Combien, au jour de la curée,
Etiez-vous de corbeaux contre l'aigle expirant

Qu'il coule en paix, votre Rhin allemand,
Que vos cathédrales gothiques
S'y reflètent modestement;
Mais craignez que vos airs bachiques
Ne réveillent les morts de leur repos sanglant!

Ren niemiecki.
Odpowiedź na piosnkę Beckera. 1841.

Myśmy mieli Ren niemiecki, wasz ruchomy wał,
W szklance naszéj ogarnięty spokojniutko stał.
Czyż piosenka, co tam skwierczy, ma dostatek sił
Zatrzeć ślady, co z krwią waszą koń nasz w ziemię wbił?

Myśmy mieli Ren niemiecki, wasz ruchomy wał,—
Ma on ranę otworzystą, co nasz zadał strzał;
Już Kondeusz rwał na strzępy ów zielony smug:
Co potrafił dziad przed laty, to potrafi wnuk.

Myśmy mieli Ren niemiecki, wasz ruchomy wał,—
Gdy nasz Cezar cień olbrzymi po przed sobą słał,
Gdy zwycięzki przez niziny waszych krajów biegł,
Gdzie są kości ostatniego, co tych kresów strzegł?

Myśmy mieli Ren niemiecki, wasz ruchomy wał,—
Jeśli pamięć swoich dziejów ktoś tam krótką miał,
Zostawaliśmy w pamięci waszych dziew i dam,
One lekkie winko wasze nalewały nam.

Jeśli przy was Ren niemiecki, wasz ruchomy wał,
Niechby każdy z was w téj strudze liberyę prał;
Lecz nie piejcie co z was który na odprawę zjadł,
Gdy jak kruki-ście zlatali kiedy orzeł padł.

Niech się czołga Ren niemiecki, wasz ruchomy wał,
Niech odbija waszych świątyń chude pęki strzał;
Ale baczność! nóćcie trwożniéj biesiadniczy śpiew:
Nuż w poległych rozbudzonych znów zakipi krew!

Porównanie dwóch tych wykrzyków nienawiści narodowéj a raczéj rasowéj, wzbudzić może w czytelniku rozmaite refleksye, bo historya przyszła w pomoc jednemu, ażeby zaszydzić nad drugim—lecz pomylił się nie jeden tylko Musset. Kolega jego Lamartine odpowiedział także Beckerowi wierszem, zatytułowanym: „la Marseillaise de la Paix." Zaczyna od słów:

„Roule, libre et superbe entre tes larges rives,
Rhin! Nil de l'Occident! coupe des nations!
Et des peuples assis qui boivent tes eaux vives,
Emporte les défis et les ambitions!

Płyń przestronném korytem swobodnie, wspaniale,
Renie! Nilu zachodni! narodów przedziale!
Z pośród ludów, co piją z twéj kipiącéj czary,
Unieś zapędy pychy i rozdźwięk niewiary!

A jakże się pomylił, gdy mówi:

Il ne tachera plus le cristal de ton onde
Le sang rouge du Franc, le sang bleu du Germain.. i t. d.

Twa struga przezroczysta nie będzie zmazana
Krwią czerwoną Francuza, błękitną Germana.

W uniesieniu kosmopolityczném, najsprawiedliwszém może, ale nie koniecznie dla tego lub owego narodu sympatyczném, woła:

„Ce ne sont plus des mers, des degrès, des rivières,
Qui bornent l'heritage entre l'humanité;
Les bornes des esprits sont leurs seules frontiéres,
Le monde, en s'éclairant, s'eleve a l'unité!
Ma patrie est partout où rayonne la France,
Ou sa langue repand, ses decrets obéis!
Chacun est du climat de son intelligence,
Je suis concitoyen de tout homme qui pense,
La verité, c'est mon pays!

Nie góry, nie przepaści, nie rzeki i morza
Wytykają ludzkości dziedzictwa przestworza;
Lecz granice umysłów to podziały świata,
Który skoro się kształci, ku jedności wzlata.
Ojczyzna moja wszędy, gdzie Francyi chwała,
Gdzie mowa jéj rozbrzmiewa, gdzie prawo jéj działa.
Działania moralnego klimatu koleją
Współziomkiem jestem wszystkich, co myśleć umieją,
Prawda mi ojczyzną się stała!

A kończy:

Et tissons de repos, d'alliance et de joie
L'étendard sympatique où le monde deploie
L'unité, ce blason de Dieu!...

Z ciszy, zgody, wesela niech będzie utkany
Wdzięczny sztandar, na którym, świat cały zebrany
Roztoczy Jedność—herb Pana nad pany.

Ostatnie słowa wydać się dziś muszą gorzką ironią!

(d. c. n.)

RAMUŁTOWIE.

Powieść współczesna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 85*).

V

Razem z Szerszeniami zajmowała Viola trzy izdebki na trzeciém piętrze domu, który nie miał ich więcéj, piętro to więc stanowiło rodzaj poddasza. Pokoiki były czyste i porządne, a że okna ich wychodziły na ogród, zielone gałęzie białych topoli i lipy zaglądały aż do nich. Z po za nich widać było mur okalający ogrod, i popiętrzone a połamane dachy i kominy, wieżyczki i facyaty kościołów. Z téj strony przynajmniéj nie szumiał wiatr i nie było gwaru ulicy; świergot wróbli i śmiganie jaskółek, których gniazda przylepione były do muru, ożywiały obrazek... jakby z więziennego okienka wyjęty.

Miała tę odwagę Viola nie pożądać ani się popisywać z elegancyą żadną, na którą ją nie stało; sprzęty były ubogie, a białe czyściuchne firanki, podłoga umyta świeżo i trochę kwiatków stanowiły całą ozdobę. Niegdyś stary kapelmistrz teatralny nauczył ją był trochę grać na fortepianie; lubiła muzykę, i liche klepadełko w kątku służyło jéj w rzadkich chwilach wolnych, do wygrywania śpiewek które się jéj podobały i starych sonat Mozarta i Haydna, które od pierwszego jeszcze nauczyciela w podarku dostała. Innych nut nie było kupić za co, pilniéj się uczyć nie miała kiedy, muzyka była dla niéj tylko rozrywką... Trochę książek na półce... a dużo robot ręcznych zalegało po sprzętach. Do ulicy i na scenę trzeba się było ubrać, często strój gdyby go szwaczka robiła zbytby się okazał kosztownym; musiała więc Viola, z pomocą Szerszeniowéj w okularach, zszywać, łatać garnirować, aby jako tako pokazać się obok artystek imponujących jéj tualetą ofiarowaną przez wielbicieli, usiłujących zagasić wdzięk dziewczęcia pięknością uzyskaną z pomocą sztuki i świecących gałganków... Viola ubierała się bardzo skromnie, z pewną nawet przesadą prostoty, a było jéj z tém tak do twarzy, że towarzyszki nie mogły jéj tego przebaczyć.

Dzień każdy schodził szybko na zajęciach często i rolę sobie przepisać saméj było potrzeba, i strój obmyślić a uszyć, i wyuczyć się sztuki... i odbyć próbę. Ledwie godzina czasu została na jaką książkę i pobrzdąkanie na fortepianiku... Już od roku prawie z pracy i życia biednego zaczęła pokaszliwać, doktor kazał jéj pić emską wodę. Chodziła więc rankami do ogródka, który na jéj użytek ofiarował Sylwan... A że on, choć bardzo grzeczny, nie naprzykrzał się jéj zalotami i okazywał pełne uszanowania współczucie, z ufnością przyjęła jego ofiarę.

Tego dnia jednak spotkawszy się ze wstrętliwą twarzyczką Hermana, którego nie lubiła i obawiała się bardzo, postanowiła wód już nie pić lub chodzić po izdebce... Smutna wróciła z Szerszeniem do domu, i zamyślona padła na swoją sofkę... podparłszy się na ręku.

— Czego bo panienka—rzekł stary zażywając tabakę i przestępując z nogi na nogę, bo miał obyczaj jak zwierzęta co długo na statku pły-

nęły, przerzucać się z jednego boku na drugi i nigdy nie stał spokojnie, — czego bo panienka tak zaraz, mości dobrodzieju bierze wszystko do serca? Nicże się nie stało... dla tego wodę tam pić można...

— Mój panie Pawle... a cóż ludzie z tego zrobią! zawołała Viola, czyż ty ich nie znasz?

— Ja ich nie znam? mości dobrodzieju! uśmiechnął się wracając do tabakierki Szerszeń. Trzymam o ludziach z nieśmiertelnym mistrzem naszym Szekspirem... mości, mości dobrodzieju, który powiada... ale nie pamiętam gdzie, że niema paskudniejszego zwierzęcia nad człowieka. I właśnie dla tego mości dobrodzieju—panienko, nie trzeba na te stworzenia dawać baczności. Ja sobie z tych ludzi *nic nie robię.*

Viola spojrzała i uśmiechnęła się.

— Nie idzie mi o nich panie Pawle ale o własną spokojność.

Zapukano do drzwi, wszedł Sylwan, który zaraz po odprawieniu Hermana przybiegł się tłómaczyć.

— Daruj mi pani, stało się czego ja nie mogłem przewidzieć, albo raczéj nie przewidziałem, bom zawierzył bratu... Pobiegłem dla chorego Hermana po suknie, zakazując mu otwierać gdyby dzwoniono. Ciekawy chłopak nie dotrzymał mi słowa, klnę się pani, że tak było.

Mówił to żywo z widocznym bolem, tak, że Viola wstała z kanapy, i podając mu ręce zawołała równie gorąco:

— Ale ja pana nie obwiniam, bynajmniéj! Jużciż bym go nie posądziła nawet o żadną zdradę... Tylko ponieważ mój nieszczęśliwy los chciał, by mnie wyszpiegowano — już mi nie wypada narażać się na złe języki.

— Złe języki, panienko—wtrącił Szerszeń, jak mówi nieśmietelny mistrz nasz Szekspir — nie ukąszą dyamentu.

Mimowolnie z téj cytaty uśmiechnął się Sylwan... Viola też smutnie rozśmiała się z poczciwego suflera, który tabaki zażył i rękę strzepnął.

— Przyszedłem wytłómaczyć się pani i—sam nie wiem jak—ale pragnąłbym z serca poradzić coś, naprawić—rzekł Sylwan... powinnaś pani wody pić aby nie kaszlać.

— Będę je piła w pokoju... westchnęła Viola; a pan przygotuj do tego, że po mieście rozgłoszą o romansie jego ze mną... Ruszyła ramionami. Cóż mi tam! mnie to już nic nie zaszkodzi—a żal mi pana!

— Przecież i mnie szkodzić nie może to, czémbym chyba miał prawo się pochlubić—odpowiedział Sylwan—ale głównie idzie tu o wody pani.

— A! cóż tam! co tam! mniejsza o to! śmiejąc się poczęła Viola. Dziękuję panu, pan jesteś dobry, serdecznie dobry człowiek... bardzom mu wdzięczna... Pięknemu, cichemu ogródkowi, w którym mnie tak było dobrze chodzić, a panu Pawłowi drzemać—trzeba posłać—*Adio!...* i wrócić do izdebki...

Przygotuj się pan pokutować za swój dobry uczynek...

Sylwan się skłonił tylko. Przyniósł kilka książek które milcząc położył na stoliku, i chciał się wycofać zaraz, ażeby nie być natrętnym. Jakaś chmurka smutku przesunęła się po czole biednéj dzieweczyny, niedostrzeżona nikomu—trochę boleśnie jéj było, że Sylwan tak od niéj się śpieszył, tak prędko uciekał.

— Usiądźże pan trochę i odpocznij, odezwała się rzucając nań wejrzenie nieśmiałe i smutne a łzawe. Mam się pana poradzić o moją rolę...

Każą mi grać pannę Martę w *Pierwszéj lepszéj* Fredry... Wszak prawda że w niéj trzeba unikać wszelkiéj przesady, bo sama przez się, przez autora już rola ta, tak jest dobitnie nacechowana, że najmniejsze przebranie miary uczyni ją karykaturą?

— Masz pani zupełną słuszność—ale jestże ta rola dla niéj stosowna? spytał Sylwan.

— Ja muszę grać co mi każą, odpowiedziało dziewczę... gdy nie ma komu, grywam zgrzybiałe staruszki...

Sylwan ruszył ramionami.

— Grałam na przemiany Anielę i Klarę w *Ślubach panieńskich* Fredry, odezwała się Viola... grałam w nich nawet ciocię... zdaje mi się, że kiedyś każą mi grać któregoś z Huzarów, gdy zabraknie artysty... ale cóż robić?—tak się u nas żyje!

Viola spojrzała na Sylwana całym wzrokiem swéj duszy, ale to, czém sądziła że go pociągnie ku sobie, przeraziło go tylko. Sylwan miał ku niéj braterskie, niemal ojcowskie przywiązanie, serce jego było gdzieindziéj. Po raz pierwszy po strzegł, że w biednéj sierocie mógł obejściem przyjacielskiém rozbudzić więcéj niż trochę wdzięczności. Tak było w istocie. Viola dotąd nie mogła pokochać nikogo ze stręczących się jéj kochanków płochych i śmiesznych; ten młody człowiek poważny, nie prawiący jéj słodyczy, nie ubiegający się o serce, pomagający jéj skrycie a skromnie i unikający nawet podziękowania—pierwszy rozbudził serce uśpione. Takiego jakiegoś cichego, umiejącego kochać, zasługującego na ufność marzyła zawsze dla siebie kochanka... Znalazła w Sylwanie ideał i serce powiedziało sobie: Jego będę lub niczyją...

Młodość, sieroctwo, rodzaj życia rozbudzający uczucie, dopominały się od niéj, aby pokochała. Któż wie czy nie znalazłszy tego człowieka nie byłaby gorszego uczyniła wyboru? Wychowana w téj swobodzie obyczajów na którą od dzieciństwa patrzała, nie widziała w tém nic zdrożnego, że nie oglądając się na przyszłość, rzucała serce swe bez rachuby.. wybranemu. W myśli swéj należała już do niego. Sylwana chłód i obojętność zwiększały tylko uczucie... Cierpiała Viola—a samo to cierpienie było dla niéj słodkie... mówiła sobie, że on ją ukochać musi, że chłód i obojętność udaje, bo nie chce zatruć jéj przyszłości... ale ona mu ją złoży w ofierze i zmusi do przyjęcia... Giniemy wszystkie.. z nędzy, z próżności, nie dawszy serca, sprzedane głodem... czemużbym ja dla miłości méj zginąć nie miała?

Viola znajdowała to naturalném, koniecznémi tworzyła sobie dramat ze swego losu... Sylwan aż do tego poranku nie miał najmniejszego przeczucia, że serce jéj drgnęło dla niego. Drżące jéj ręce, łzawe wejrzenie, głos wzruszony po raz pierwszy dały mu poznać prawdę, któréj się wahał uwierzyć.

Zbroiło go przeciw temu czarowi miłości, dawne przywiązanie, zepchnięte w głąb serca i zapełniające je całe,—a mimo to uląkł się szału... uczuł słabym — postanowił jéj unikać.

Byli sami, bo pan Paweł Szerszeń, usunął się zwolna do drugiéj izby. Viola uśmiechała mu się z naiwnością dziecka, które nie zna niebezpieczeństwa... Sylwan popatrzał na nią chwilę nie wiedział już co mówić...

— Wody więc pani pić będziesz?

— Pan mi każesz, ja go prędzéj posłucham niż doktora... Dobrze... Gdzie mam je pić? U pana w ogródku nie można... szpiegowanoby mnie na drodze... zatém u mnie w pokoju... Ale teraz, dodała cicho—bardzo cicho—ja już pana nie zobaczę.. W teatrze! tyle ludzi, tam jabym nie widziała choć przyjdziesz mi się z dala ukłonić... w ogródku się już nie zobaczymy... a do mnie, nie śmiem prosić...

— Owszem, kochana pani, rzekł Sylwan ujęty jéj prostotą i szczerością: jeśli pani czém użytecznym być mogę, przyjdę, dowiem się, dostanę książek.. Znajdziesz pani we mnie dobrego brata, nie zaś natrętnego... wielbiciela!

Viola zarumieniła się mocno.

— Pan wiesz przecię, jak mi oni są wstrętni! bądź mi czém byłeś dotąd—ale—nie opuszczaj sieroty...

Zmieszana i prawie nie wiedząc co powiedziała, wyszepnęła ostatnie słowa, podała mu ręce obie, i gdy Sylwan jedną z nich ucałował żegnając, żywo rzuciła się na kanapę... Łzy miała w oczach—Sylwan nie widział ich może, odszedł wszakże poruszony mocno i smutny...

(d. c. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 85).

PAN GRABA.

Powieść p. Elizy Orzeszkowéj.

Teraz pomówimy o powieści pani Orzeszkowéj ze stanowiska prawdy artystycznéj. Chodzi o to, czy charaktery występujące w opowiadaniu nie wychodzą z granic możliwości, i czy raz postawione, utrzymane są z prawdą psychologiczną przez cały przebieg zdarzeń? Zajmiemy się głównie panem Grabą, gruppując koło niego inne mniéj ważne postaci. Pan Graba jest to łotr, należy zatém do szeroko rozrodzonéj po powieściach familii charakterów czarnych. Ale to łotr pojęty w nowszy sposób. Zdarzało się często, szczególniéj w dawniejszych powieściach, że kiedy uwzięto się malować kogoś na czarno, to powstawał ztąd nietylko złośliwy i demoniczny charakter, ale przytém łotrowski z zamiłowania. Bywał tak straszliwy, że aż się sam siebie bał, a spełniał złe dla zła — coś niby jak sztuka dla sztuki. Pan Graba jest nieco innego kalibru. Nie jest to rozbójnik z bajki, wietrzący krew i rzucający się ze słowami: „świeża dusza jest!" na nieszczęśliwe ofiary. Czasem i Graba nadto pozuje na okropnego, ale jeśli kogo chce tém przestraszyć, to chyba żonę. Możemy jednak zaręczyć, że i w takim razie nie używa dla większego efektu ani sztyletu ani madejowéj maczugi. W ogóle pan Graba jest człowiekiem dobrze wychowanym, a w szczególe, dobrze urodzonym. Nie rozumie on zła dla zła; jest to łotr dla własnéj wygody. Lubi dobre towarzystwa, salony, służbę galonową, konie, powozy, słowem komfort—i ażeby sobie to wszystko, mimo braku majątku zapewnić, grywa i ogrywa w karty swoich znajomych. Z tém wszystkiém w chwili, w któréj ukazuje się w powieści, jest już łotrem skończonym. Dusza ludzka nie zepsuta jeszcze, jest niby kamertonem odbrzmiewającym zgodnym dźwiękiem na głos dobra objektywnego; są w niéj struny, które za każdém pociśnięciem dobrego czynu zewnętrznego, odpowiadają echem współczucia. Ale w panu Grabie wieloletnia praktyka w złém porwała owe struny nawiązane ręką bożą. W chwili kiedy pan Graba występuje w powieści, brak już w nim poczucia różnicy między złém i dobrém: może ją rozumieć, ale jéj nie czuje. Jest obojętny, a wybiera złe dla wygody i z przyzwyczajenia. Jedna wybitniejsza namiętność jaka go ożywia—to egoizm. Jest to człowiek z duszą wyschłą do dna, i zmarnowany na ciele. Charakter tém bardziéj trudny do utrzymania, że jednak nie apatyczny; ma on je-

szcze swoje pragnienia i nawet dość gwałtowne pragnienia, które biorą źródło jeżeli nie w uczuciu, to w myśli przywykłéj łaknąć. Są to popędy, którym gwałtowności dodaje nie żywotność i bujna młodość organizmu, ale wygórowany egoizm. Różnica między cném, prawdziwie ludzkiém uczuciem, a ślepym popędem jest ta, że uczucie to popęd na wędzidle moralności. Pan Graba już nie zna takiego wędzidła, co czyni go tém niebezpieczniejszym, że pozostała mu jednak energia, upór w przeprowadzaniu swych celów i nakoniec przebiegły rozum. Taka jest moralna fizyonomia tego człowieka.

TRZY CHWILE ŻYCIA SZULERA.



1° Kosztowności to martwy kapitał. Układ i rysunek Ks. Pillatego.

Autorka maluje ją na tle stosunków z ludźmi, dla tego i nam należy przejść do nich. Zaraz po przyjeździe do miasta P. Graba poznał młodą i piękną nauczycielkę Kamillę, do której zapłonął niebawem silnym płomieniem. Nie było w tém uczuciu nic szlachetnego, z czém zresztą bohater nie tail się, robiąc z towarzyszami swemi zakłady o honor dziewicy—ale była to gwałtowna chęć posiadania jéj. Nie przychodziło to jednak łatwo; wszystkie najzręczniejsze nawet usiłowania bohatera rozbiły się o surową cnotę mądréj i energicznéj Kamilli. Graba uzyskał jéj wzajemność z pomocą kłamstw i hypokryzyi—do posiadania osoby mógł dojść tylko przez ołtarz. Jakoż i doszedł. Ożenił się z nią z dwóch powodów: raz że jéj pragnął, a powtóre, że jako kobieta piękna i dobrze urodzona (pochodziła ze znakomitéj, podupadłéj familii) była mu potrzebna, jako przynęta towarzyska dla ludzi bogatych i dystyngowanych; dla takich Ordynatów, Klońskich, Słabeckich etc. Ona miała ich zwabiać—on... ogrywać.

Ożenił się więc, ale zaraz nazajutrz po ślubie ukazał się żonie bez maski; przyszedł do niéj z siwiejącym włosem, wyżółkłą twarzą, nerwowém drganiem w oku i bezczelnemi słowy, których treść da się uchwycić najkróciéj: „Jestem łotr, jestem gracz—pomagaj mi."

Przyznać należy, że ze stanowiska logiki nierozumiemy téj otwartości, któréj powodów i autorka nie wyłuszcza nigdzie. Przebiegły i znający ludzi na wylot Graba, łatwo mógł odgadnąć, że taką bezczelnością nietylko nie zapewni sobie pomocy Kamilli, ale wzbudzi w niéj dla siebie wstręt nieprzezwyciężony. A jednakże wstręt ten był późniéj nieprzełamaną przeszkodą dla jego pragnień. Dla czego więc to uczynił? Nie dla korzyści, nie dla wygody, nie przez zemstę nawet, bo taki człowiek nie mści się z własną szkodą. Pan Graba sam późniéj żałuje tego postępku, ale żałując nie tłomaczy nielogiczności, jaką on, a raczéj autorka popełniła przez jego usta. Można tylko jedno przypuścić: chciał dokuczyć żonie — ale i to z jego strony niedorzeczne.

A jednak autorka nie chciała go mieć jednym z takich, którzy popełniają bezcelowe niedorzeczności.

W ogóle stosunek jego z żoną nie jest dość usprawiedliwiony. Graba kocha ją, a ciągle bez widocznéj potrzeby jéj dokucza; pragnie jéj, a ciągle ją oddala. Nie jest to zgodne z jego egoizmem i uporczywością każdego pragnienia. Graba ma wybór: albo inaczéj postępować z żoną, poświęcić jéj nie już nałogi swoje, bo tego nie wymagała, ale pewne zbyt rażące jaskrawości,



USTRONIE LEŚNE. Rysował A. Schouppe.

zbyt ostre kanty tych nałogów, albo wyrzec się swych nadziei i swych pragnień. Graba nic nie poświęca i niczego się nie wyrzeka. Przez całe trzy tomy, to jest przez całe pożycie małżeńskie nie zrobił żonie najmniejszéj przyjemności, któraby ją ujęła za serce. Owszem ciągle jéj dokucza. Jakiż wniosek z tego? Chyba ten, że Graba nie tak znów płonął i dbał o zaspokojenie swych pragnień i praw małżeńskich.

A jednak według autorki i płonął i dbał.

Trzeba się jednakże porachować z myślą, że Graba chciał złamać żonę. Zgoda i na to. Spróbował raz, drugi i trzeci, spowodował śmierć matki żoninéj, odebrał Kamilli ostatnie pamiątki po matce... wyczerpał najsilniejsze sposoby, widział już tylko słabsze—Graba ich nie porzucił. To trochę dziwne! Po wyczerpaniu owych najsilniejszych sposobów, najnaiwniejszy czytelnik mimowoli zawoła: „Nie tędy droga!"—Graba idzie daléj tą drogą.

Graba dziwnie niezręczny.

A jednak autorka chciała go mieć zręcznym.

I nie wskórał też nic z żoną. Wypada ztąd wprawdzie nauczka moralna, żeby nie dokuczać żonom... ale zdaje się, że autorka nie miała na celu téj nauczki.

Za to gdzieindziéj Graba, raz postawiony, jako taki, nie rozmija się już z własnym charakterem. Postąpienie np. z tą śliczniutką a poczciwą i sympatyczną (niech nam ją tak będzie wolno nazwać) Cesią Klońską, jest prawdziwie odpowiednie znikczemniałéj jego duszy. Chcąc zemścić się na niéj za to, że odciągała męża od gry, zmyśla przed jednym ze swych towarzyszów, ordynatem Zrębskim, historyę, jakoby Celina kochała jego (ordynata) nie zaś męża. Głupi ordynat wierzy i adresuje do niewinnéj kobiety tkliwe spojrzenia, obrażające półsłówka i t. p. W końcu rzecz dochodzi do męża Celiny, i ztąd znów nowe zawikłania i nowe przykrości dla niéj, których omal nie przypłaciła szczęściem całego życia, a nawet samém życiem.

Tu Graba jest przebiegłym, zręcznym i mściwym dla własnéj korzyści. Za to ordynat dziwnie łatwowierny, z czego jednakże nie robimy autorce zarzutu. Owszem, łatwowierność ta, na któréj dnie leży cały ogrom zarozumiałości i miłości własnéj, jest rysem bardzo szczęśliwym. Lord Dudley, którego splinowaty ordynat we wszystkiém naśladuje, nie złapałby się wprawdzie tak łatwo, ale nasz ordynat to nie lord Dudley i nie Anglik—to nasz ordynat, nasz szlachcic, a do tego Galicyanin.

Tu pora wspomnieć i o innych towarzyszach Graby. Jak sam ordynat, tak i reszta ich: Stanisław Kloński, Tozio Słabecki, etc. wszystko to postaci zarówno pomyślane, jak i utrzymane szczęśliwie. Autorka nie rozpacza jednak o naszém społeczeństwie. Zepsutym do szpiku kości jest jeden Graba. Tamci tylko błądzą. Znać w nich pewien rozbrat między życiem zewnętrznem i wewnętrznem; grunt ich poczciwy; błądzą, bo lekkomyślni, słabi; błądzą, bo młodzi, lub wreszcie, o czém niżéj będzie,—tak wychowani. Błędy ich nieraz o krok tylko od granicy zbrodni, ale każdy z nich ma jeszcze w sobie lub obok siebie jakiegoś dobrego anioła, którego głosu słucha, i który w chwilach największego nawet upadku moralnego, albo zatrzymuje go nad przepaścią i wraca na drogę cnoty, albo oczyszcza w godzinę śmierci. Takim dobrym duchem dla Klońskiego jest Cesia, dla Słabeckiego siostra, owa ślicznie pomyślana Ryta, dla ordynata—honor. Ci jeszcze nie wyschli do dna, ci jeszcze czują; ich piersi nie zupełnie „na miarę krawca," —biją w nich polskie krwiste serca buchające gniewem na każdy affront honorowi lub cnocie niewieściéj. Dobrzy do wypitki, ale równie dobrzy do wybitki. Ordynat wcale nie czuje wstrętu do rzucenia komuś rękawiczki; takiż i Tozio, a Staś Kloński, gdy się rozmacha bywa straszliwy jak nosorożec. Piękne to rysy i autorka zdaje się z zamiłowaniem je wkazywać; ale tu spotykają nowy zarzut z naszéj strony: Graba imponuje tym ludziom—Graba stoi na ich czele —a my pytamy, czém imponuje? Przypuśćmy, że ironią, dowcipem, bezczelnością nawet. Mogłoby to wszystko być, gdyby nie pewne *ale*. Znów wracamy do porównania z Alkadarem Chojeckiego: Tu zgraja birbantów i tam zgraja birbantów —ale u Chojeckiego na czele zgrai stoi taki Wilczek! Rozumiemy, dla czego ten imponuje: kipi, bije, zabija, gotów jak to mówią czarta złapać za ogon—ot! taka niepohamowana bujna polska natura!—Graba tchórz!—Jest to rzecz, która między mężczyznami nie popłaca: tchórzów się łokciami potrąca. Albo Kloński, Słabecki, Ordynat nie byli tacy, jakimi chce ich mieć autorka, albo Graba nie mógł im przywodzić. A pamiętamy, że zaledwie ich poznawszy, przyznał im się do tchórzowstwa. To rys zupełnie fałszywy! Takim ludziom mógł imponować Graba zawadyaka, Graba pijak, Graba kostera, Graba warchoł ale nie Graba—tchórz.

Odwaga w złym bywa bezczelnością. Gdyby Graba nie był tchórzem, nie byłby może tak obrzydliwie nikczemnym, ale mógł pozostać równie złym, a jeszcze szkodliwszym. Z innych względów charaktery męzkie są utrzymane. Jest w nich prawda życiowa; nie deklamują, ale i mówią i myślą, każdy po swojemu. Ostatnie chwile Tozia ściskają serce grozą i przerażeniem, a jednak czuje się całą ich logiczność. Autorka razem z czytelnikami lituje się nad nieszczęśliwym, ale wyroku, jaki sam sobie zgotował, nie cofnie; autorka jest tu konsekwentna jak sama konieczność. *(d. n.)*

PRZYGODY I OBRAZKI ANATOLSKIE.

OPOWIEDZIAŁ

KARA AWDŻI.

—A dalibyście raz już pokój temu lasowi Sułtańskiemu! (*) Wszak to jeśli tak daléj pójdzie, cóż w zimie poczniemy? Hasamy a hasamy wciąż po tych lasach, tak, że do reszty wypłoszymy wszystką zwierzynę, nim jeszcze liście zupełnie opadną. To nie Alger, tutaj figi po lasach się nie rodzą, a pantery jeść nie dają. Chi! chi! chi!

Tak prawił szanowny major F., siedząc przed kominkiem w administracyjnym domu i pykając ze swéj krótkiéj fajeczki węgierskiéj. Dla rozmaitości i przerwania milczenia, klnąc, raz wraz poprawiał pniaka kasztanowego, który ani weź rozpalać się nie chciał. Takie zagajenie walnéj naszéj narady łowieckiéj, wcale nieponętnie brzmiało w uszach naszych. Ponury wyraz na wszystkich naszych ośmiu twarzach odpowiadał milczeniem potakującém na ironiczny chychot majora F. Jeden tylko p. ex-podleśny D., pełen konceptów i dykteryjek, tego zupełnie na seryo brać nie chce, i strawić na sucho téj pogróżki nie może; to też pierwszy odezwał się:

— Na figi, majorze, nie godzę się, lecz gdybyś nam swoją panterę przysłał, to bylibyśmy serdecznie radzi temu gościowi. Ale do téj dziury nietylko człowiek, ale i zwierz porządny nie chce zawitać. Zresztą gdyby ta imość zagnieździła się w lesie, to pierwszą ofiarą padłyby nasze gończaki, od czego uchowaj nas Boże! Bo wtedy co?

—Przepraszam. Bardzo mylisz się, odpowiada major: bo pantera tak samo jak lew i każde inne zwierzę zmyka przed gonem psów. Opowiem wam przy téj sposobności zdarzenie, jakie mnie samego spotkało w Afryce.

W roku 1851 byłem dróżnikiem na drodze Algersko-Orańskiéj. Mieszkałem sam w lesie, a choć dróżnik, nie zapomniałem swych dawniejszych paniczowskich narowów, i jako myśliwy w dodatku, trzymałem parę psów gończych. Były to psy takie, że u żadnego lorda angielskiego, albo pana naszego nic lepszego spotkać by się nie dało—chi! chi! nawet i w pokojach. Zdarzyło się raz, że miałem dużo roboty na drodze—woda popsuła szossę w kilku miejscach. Pracowałem tedy z taczką i łopatą od wschodu do zachodu słońca. Tymczasem pieski moje zależały się, potrzeba je było koniecznie choć trochę przewietrzyć. Zatém pewnego dnia zeszedłem wcześniéj z roboty, i na godzinę przed zachodem słońca zapuściłem psy tuż przy domu, w krzaki porosłe olbrzymiemi salerami, które tam dziko rosną i przechodzą wysokością wzrost człowieka. Wybrałem sobie stanowisko na ścieżynie i słucham. Strzelbę miałem nabitą śrótem zajęczym. Wkrótce słyszę gon suczki, następnie i pies zaczął doławiać się, a na ostatku gon obojga zlał się razem i gonią wprost na mnie. Po gonie spodziewałem się lisa; stanąłem w krzaku i czatuję. A zaledwo chwil kilka upłynęło, słyszę, tuż obok siebie, łuskanie gałązek; — jestem pewien, że to lis, i z za krzaka, wzrokiem wytężonym szukam w gąszczu jegomościa. Naglo mocniejsze łuśnięcie rozległo się w sąsiednim krzaku, i o pięć kroków odemnie najdaléj wysunął się ogromny łeb czarnéj pantery na ścieżynę! Od razu pojąłem że jedna sekunda chybiona, a wnet dostanę się na podwieczorek mojéj sąsiadce. Straszny zwierz nie postrzegłby jeszcze z parę sekund, tak był mocno wpatrzony w ścieżynę, widocznie szukał mnie. Poczekajże, myślę, nim na powitanie mnie zapuścisz w mój kark swe szpony śmiertelne, dajże ja cię poczęstuję. Mierzyłem w samo ucho, a jak palnę, tak mój czarny dyabeł tylko ryknął jak buhaj ranny, spiął się dęba w moją stronę, tak, że głowa moja przypadła poniżéj łap, i runął mi całém brzemieniem cielska pod nogi. Nie tracąc chwili, poprawiłem z drugiéj lufy w sam łeb, i odskoczyłem na bok. Ryk znowu powtórzył się; a ja tymczasem pośpieszyłem nabić strzelbę kulami, aby dobić rannego zwierza, przed przybyciem gończych. Słyszę, że psy tuż, tuż już nachodzą. Wysunąłem się tedy ostrożnie na drożynę, i ku wielkiemu memu zadowoleniu, ujrzałem stężały trup zwierza na środku; a psy gdy podskoczyły do niego z blizka, wyjąc okropnie, rzuciły się mnie pod nogi i drżeć poczęły. Tak z kwandrans stałem z boku, przypatrując się, a gdy przekonałem się, że nie żyje, podeszłem bliżéj, by obejrzeć strzały. Przekonałem się, że pierwszy strzał trafił nie w ucho, lecz w same oczy, i temu niezawodnie zawdzięczam, że w ostatnich śmiertelnych podrygach nie złapała mię w swe szpony ta bestya; drugi zgruchotał szczękę i łopatkę. Poszczułem psy jeszcze, probując czy nie czai się imość czasami; a gdy okazało się, że jest bezpieczeństwo wszelkie, pociągnąłem moją świetną zdobycz do domu. Zaledwo po przyjściu do domu przyszło mi na pamięć, że od paru dni, po

(*) Tak się nazywa las, leżący na wschód od Adam Kioi, kolonii u stóp Alem-Daghu, w Anatolii za Bosforem.

nocach, ciągle coś porykiwało, niby buhaj zbłąkany w lesie. Jak byłem zadowolony z méj zdobyczy, o tém wam powtarzać nie potrzebuję; lecz co mię szczególniéj pocieszyło, to sumka piękna, jaką uzbierałem za moją zwierzynkę. Oprócz rządowego wynagrodzenia 150 franków, dostałem jeszcze za skórę i mięso drugie 150 fr., co mię w oczach moich niezmiernie wysoko podniosło, bo dopiero pierwszy raz w życiu udało mi się doraźnie taką summę zarobić! Gdym dostał te 300 fr. do rąk, to mi ciągle stały pantery w oczach, jako najpowabniejsze istoty w świecie, niby hurysy w raju Mahometa. Hi! hi! A oto widzicie, że i pantera zmyka przed gończemi, zakończył major.

— Jakkolwiek z tego opowiadania dowiadujemy się, że i pantery są poczciwe, gdy się dają zabijać grzecznie, lecz zważywszy na to, że żadna podobna tutaj nie zawita, i że obecnie tutaj mamy zamiast 1851 rok Pański 1864, wnoszę, że będzie z nami źle — ciągnął daléj głosem surowym L.

— A wiesz ty, powiada major, jak to stary Kotowicz pocieszał tych, co skarżyli się na swój los? „źle ci bratku?—gorzéj będzie!" Hi! hi! hi!

— Porzućmy żarty i radźmy na seryo, ktoś dodał, — co mamy daléj począć? Ty, majorze, pierwszy podniosłeś kwestyę; spodziewamy się, że musisz mieć i plan gotowy, jakby złemu zaradzić?

Rozpoczęła się narada, na któréj jednogłośnie uchwalono, udać się na polowanie, na parę tygodni, za r. Rywę, o kilka godzin od kolonii, za wieś turecką Bozannę, ku górze Kirk-Baszi, gdzie jest pełno zwierzyny, która w nasze knieje nie zachodzi. Wyprawę postanowiono odbyć niezwłocznie nazajutrz. Wieczór i ranek następnego dnia upłynęły nam szybko na przygotowaniach. Zabraliśmy z sobą żywności co największy zapas, ammunicyi, parę toporów, kociełki; objuczyliśmy tém osła najętego i po południu puściliśmy się w drogę.

Kompania nasza składała się z siedmiu zawiędłych na trudy łowieckie ludzi i mnie ósmego, który dopiero pierwszą taką kampanię rozpoczynałem. Każdy z moich kolegów zwiedził albo Bałkany, albo sławne puszcze Olimpu w Tessalii, lub afrykańskie puszcze i pustynie i t. d., a w dodatku każdy z nas przecież po trosze z kraju znał się z knieją i flintą. A bez przechwałek powiedzieć mogę, że gromadka nasza wcale pokaźnie wyglądała. Po stroju i z miny znać, że nie są to gagatki hodowane w puchu, lecz ludzie, co to nie z jednego pieca chleb jadali i niejedno morze przepłynęli....

Na odjezdném zatrąbiono pojezdnego, a jakby czując swój obowiązek prorokowania, i nasze bydlę balaamskie uszy nasrożyło i całém gardłem smętno-humorystycznie porykiwać zaczęło. Czują wszyscy, że to dobra wróżba, lecz ani mruknie żaden, bo się znają na zwyczajach łowieckich które pomimo oświaty przestrzegają w całéj ścisłości, dla zachowania zewnętrznego decorum. Mieszczuch lub paniczyk niedoświadczony, zaraz palnąłby na wstępie: Otóż mamy dobry prognostyk! Tutaj milczą wszyscy, bo nie chcą zrażać do siebie tych, co w to wierzą. Baby nie ma potrzeby lękać się, aby nam drogi nie przeszła, bo tego towaru prawie nie ma na kolonii; śmiało tedy naprzód ruszamy.

Już minęliśmy ostatnią chałupę i pólko, gdzie z okien można bić bażanty, i oto jesteśmy na drodze za wsią, pomiędzy zaroślami, których cień miłego chłodku nam użycza. Jesteśmy w końcu października, lecz jeszcze słońce dyabelnie piecze. Wiatrem świeżym od morza Czarnego ku nam powiało, i daleki huk, jakby granie dział w oddaleniu, mile zmysły nasze pieści.

Rzucając wzrokiem w tył, z pierwszego pagórka widzimy jak na dłoni całą kolonię. Widok ten, pomimo swéj dzikości, ma w sobie coś dziwnie świeżego i uroczego. A te strzechy i domki, obok drzew figowych, robią rzewne wrażenie na nas. Kolonia w tém leśném ustroniu mile się czai, a duże kasztany słodkie, co siedzą pośrodku jéj ulic, wyglądają jako pyszne dekoracye przy białych ścianach domków wiejskich. Po nad wsią podnosi w obłoki garb swój krzakami porosły Alem-Dagh, i na niéj krzyż w przezroczu błękitu kąpie swe ramiona. Szyderstwo z bisurmanów!

Góra cała z przyległościami należy do księży i do chrześcian, co tulą się pod ich opiekę; nic dziwnego, że krzyżowi nic złego nie staje się. Księża zaś ci, są pod opieką Francyi, a ztąd i szacunek Turków dla tego krzyża.

Nad górą pływa sęp, jak motyl na szpilce rozpięty. Z dala sadziłbyś, że to ptaszyna malutka! Z góry głaz gdzie niegdzie wystercza, a im niżéj oko po niéj spuszcza się, tém las coraz się bujniéj rozrasta, aż się zleje na ostatku, na wschód od kolonii, w pyszną massę zieleni lasu Sułtańskiego, co jak żywa leśna dekoracya unosi się po nad nią. Kotlinę zieloną kolonii obstąpiły lasem i zaroślami pokryte góry. Żaden turkot, żadne głosy ztamtąd nie dolatują, jakiś dziwny spokój po nad tém wszystkiém panuje.

Od skwaru dziennego góry pokryły się lekką mgłą, niby gazą bengalską, co nam wróży pogodę, chociaż w nocy deszczyk kropił. W powietrzu czuć coś tak lekkiego, że my w naszych klimatach północnych pojęcia o tém nie mamy. Lada upał musi u nas parność spowodować, w skutek wilgoci, jaką nasiąkły nasze grunta, gdy tymczasem tutaj bardzo rzadko się to zdarza.

Przesuwamy się koło bud bulgarskich, około kawałka pola uprawnego, na którém sterczą łodygi tytuniu i ślady basztanu. Widać, że téj nocy musieli goście odwiedzać pole, i to liczni, bo całe pólko wzdłuż i w poprzek jest porytе— to dziki te ślady po sobie zostawiły. Wszyscy uważnie przyglądamy się miejscu, a każdy jakby miał na ustach: — Czekajcie kochankowie, i do was dobierzemy się! Niech nam tylko Kirk-Baszi dopisze.

W tych lasach mnóztwo jest dzików; z ust jednego kolonisty słyszeliśmy opowiadanie o tém. Był on na polowaniu w lesie pod Rywą, gdy na raz ujrzał pędzące w jego stronę stado dzików ze 200 sztuk przynajmniéj, przed którém musiał jak niepyszny schronić się na drzewo. Spustoszenia, jakie wyrządzają one na tutejszych polach, są ogromne; to też myśliwi biją je z zasadzki, urządzonéj zwykle przy polach, gdzie była kukuruza lub kartofle. Psy tutejsze wcale dzika nie gonią, chyba je umyślnie do tego układać trzeba.

Cóż to za cudny smug drogi leży za pólkiem bulgarskiém, w wąwozie, na którego dnie szumi leśny potok! Konna drożyna wgryzła się w szare głazy bocznych skał oplecionych jakby siatką zieloną, żywym strojem z bluszczu pnącego się, dzikiego winogradu, chmielu i innych pnących się i wijących roślin. W szczelinach pomiędzy głazami siedzą krzaki dzikiego lauru, bukszpanu, mirtów, albo z żółtym kwieciem sitowia tutejszego, lub tarniny tutejszéj z pąsowemi jagódkami. Od mchu, ziół, roślin, zmieszanych z wilgocią, delikatna woń roznosi się. Ogromne krzaki leszczyny przy dębach i olszach rosnących przy wodzie, przyjemne wrażenie dla oka naszego robią.

—Gdyby to można było tutaj zapolować?... Ma ten padyszach zwierzyny podostatkiem w swym seraju, a jeszcze mu potrzeba i téj!—wyrwało się komuś pomimo woli.

Cały ten kawał lasu istotnie należy do sułtańskiego „czyflika" (folwarku), a ztąd i polowanie w nim jest zakazane, „jasak." Lecz po co to „jasak" ciąży nad tym lasem, tego i sam Mahomet zapewne nie potrafiłby wytłomaczyć. Sułtan tutaj nigdy nie poluje. Las ten jest klęską dla nas, bo ile razy psy pognały nam zwierzynę w sąsiedztwie jego, to już musieliśmy pożegnać się z nią i jeszcze w dodatku z kilka godzin czekać nim psy powrócą. Knuliśmy ciągle spisek na te lasy, ale jakieś skrupuły ciągle nas powstrzymywały. Podług opowiadań kolonistów, moc zwierzyny siedzi w tym lesie; a prócz sarn, dzików, bażantów i szakali, jest jeszcze mnóztwo jeleni. Stary młynarz z kolonii, poczciwosz, bajał oprócz tego, że nie brak tutaj i bajecznych zwierząt; tak np. widział jelenia o 48 świecach i t. p. A gdy go po trosze reflektowaliśmy, to ani jednego różka nie chciał darować. „Czterdzieści ośm, i basta"—tak zawsze kończył.

Wychodząc z lasu mijamy młynek, co do czyflika należy, i posuwamy się pod bramę wjazdową folwarku. Wstępujemy i na czyflik, by uprowidować się w tytuń, prawdziwie turecki, jak powiadaliśmy, a za który nie drożéj płaciliśmy niż po 8 piastrów, czyli groszy 40 za oko, to jest po 13 groszy za funt. Jakże ujść pokusie, od uraczenia się za takie pieniądze tym specyałem! Wprawdzie jeszcze daléj można było dostać u Bulgara i po 4 piastry ale tamten nie był tak dobry jak ten. Na polowaniu chcemy *echt* turecki palić! *(d. c. n.)*

KRONIKA.

Powiedz mi też czytelniku tylko tak szczerze czy należysz do stronnictwa proszku perskiego, czy też możе jesteś wynalazcą innego jakiego preparatu owadobójczego mającego służyć za środek anti-choleryczny! Bo widzisz — sprawa to ważna — proszek perski, który dotychczas z natury rzeczy miał najwięcéj związku z kwestyą *gryzącą* stał się od razu kwestyą *palącą*. Toczy się oń polemika dziennikarska w któréj doktór Lubelski w pogardliwych kilku wierszach zbija *wielce uczone* wywody pana Dzwonkowskiego utrzymującego że proszek perski „zatruwając mikroskopijne owady nie ma siły przedrzeć się (!!) przez te niezliczone zastępy drobnowidzowych istot zalegających żołądek—i uszkodzić zdrowe części organizmu." Publiczność z zajęciem (wyrażenie uświęcone) śledzi za przebiegiem sporu,—a tymczasem jaki taki porzuciwszy ratafię, pomarańczówkę, piołunówkę, miętówkę i tym podobne kordyały zaczyna na seryo myśleć o nalewce na proszek perski—inny stawia sobie pytanie, ażali nie prostszą by rzeczą było zażywać proszek perski w opłatku, z zachowaniem... kolorytu aptecznego,—nareszcie trzeci kupuje ów przesławny proszek, kupuje spirytus dobréj próby—proszkiem wysypuje łóżko... a spirytus... wypija, argumentując w te słowa:

— Głupi mój rozum naucza mię: że nalewka na proszek perski ma to być owo lekarstwo od którego i robak zdycha i człowieka dyabli biorą.. Ponieważ oddawna, *aqua vitae pura* ma pod tym względem sławę ustaloną,—dla czegoż mam nieskalaną czystość tego produktu naszych pól ro-

dzinnych, mącić zamorskiemi jakiemiś trawami? i to jeszcze pochodzącemi ztamtąd, gdzie na cholerę ludzie jak muchy padają?

I mówiąc to wychyla kieliszek żytniówki czyniąc zadość zasadzie *utile dulci*

Gdyby przynajmniéj podobnym kontrowersom ulegały tylko odkrycia wylęgłe w marnych niefakultetowych głowach... ale gdzie tam... Już sądziliśmy, że kwas karbolowy jest patentowanym przez naukę zbawiennym środkiem niszczącym zaraźliwe miazmata w nas, na nas, koło nas pod nami, nad nami; już miał on się wciskać dyskretnie do wody którą się myjemy, do mydła którém oczyszczamy naszą skórę i naszą bieliznę, do odzienia w postaci perfumów, do powietrza którém oddychamy i do niezliczonych jeszcze miejsc i przedmiotów: słowem miał otoczyć codzienne życie nasze niewidzialnym a przenikającym i dla jednego tylko zmysłu powonienia dotykalnym wpływem,—aliści nagle ni ztąd ni zowąd dowiadujemy się że kwas karbolowy jest gwałtowną trucizną, a specyalne pisma takie jak „Pharmacy journal and transaction" i „Journal de Pharmacie et de chimie" podają cały szereg wypadków otrucia nawet przez inhalacyę.

Między kwasem karbolowym, a proszkiem perskim co tu wybrać czytelniku?

Cywilizacya, postęp, naukowe zdobycze, każą koniecznie iść za duchem czasu i umierać od kwasu karbolowego,—ale tak między nami mówiąc, czytelniku.—gdyby mi przyszło koniecznie przenosić się na inną planetę,—byłoby mi doprawdy obojętném uczynić to *lege artis*, czy też... ot tak sobie... po dyletancku bez żadnéj naukowéj podstawy.

Jestto jednak tylko osobiste moje zdanie... a wiesz czytelniku, jak w filozoficznych refleksyach nad różnemi objawami życia, nad złém i dobrém, czy to fizyczném czy też moralném,—mało waży pogląd oparty na rozważaniu jednostkowych dolegliwości, na indywidualnych przemijających zwątpieniach przywiązanych do chwili obecnéj... Wznioślszy się dopiero na te wyżyny z których to okiem obejmować można całe wieki przeżyte przez miliardy podobnych nam istot widzimy istotny postęp w fizycznych warunkach bytu... Nie umieramy już na dżumę, na żółtą febrę,—tylko na ospę, tyfus i cholerę... Siła epidemii w ogóle zmniejsza się znakomicie,—a wziąwszy na uwagę ten pewnik poparty teoryą prawdopodobieństwa, mamy tę pociechę, że możemy umrzeć w szczuplejszéj nierównie ilości ludzi zmieconéj przez rarazę! Zresztą od czegoż przejęcie się teoryą o żelaznéj konieczności zwycięztwa tego co przeznaczone do życia nad tém co z natury swego ustroju nie ma prawa do bytu!

— Cóż chcesz mój kochany mówił do mnie w tych dniach człowiek, który nigdy na katar nawet nie chorował,—natura co pewien czas popowołuje nas wszystkich do konskrypcyi. Ludzie—zowią to epidemią!... w istocie jest to tylko losowanie!.. Silni i zdrowi wyciągają złe bilety, i pozostają jako bojownicy w szrankach życia... Słabowite cherlaki—*idą do domu* tam gdzieś gdzie w spokoju tylko kontemplować będą: śpiewając: Hosanna!... i w przestankach oblizując ściany z cukru lodowatego!

Ów silny bojownik miaał na ułatwienie walki życiowéj parę kroć sto tysięcy... Nie dziwcie się więc że wierzył w konieczność wyciągnięcia złego biletu.

Z tego wszystkiego, powiesz czytelniku, pokazuje się, że w Warszawie jest cholera!

Broń Boże!.. spytaj się kogo chcesz każdy ci odpowie:

— Jest coś w powietrzu!

Ta nieokreślona, sceptyczna odpowiedź, to rys dzisiejszéj epoki... Jakżeśmy w tém *coś* dalecy od owéj niewiasty w bieli przeciągającéj po miastach i siołach z zakrwawioną chustą lub nawet od strasznego pochodu żyda tułacza zostawiającego wyciśnięte w ziemi w kształcie krzyża ślady nigdy niezdartych chodaków swoich!.... Sprobujcie jeśli łaska tworzyć takie pyszne legendy w czasach Pettenkofera który kreśli jak najdokładniéj marszrutę nadgangesowego wędrowca, zanim odkryje niewzruszone prawa jego pochodu! Są ludzie którym się to niepodoba,—którzy i tu utyskiwać gotowi na brak poezyi, tak jak w historyi doszukują się przedewszystkiem dramatu,—jak ubolewają nad udoskonaleniem artylleryi nie dla tego że więcéj ludzi od niéj ginie,—ale dla tego, że wojna traci na swym epicznym majestacie,—którzy czytając opisy średniowiecznych epidemii, uczuwają rozkoszne dramatyczne dreszcze....

Co do mnie!.. przyznaję, że wolę kwas karbolowy, a nawet proszek perski!..

* * *

Kiedy już tak wypadło żeśmy od samego początku zajęli się chorobami dręczącemi biedny nasz padoł płaczu, pomówmy też o tych ktorzy w tych razach ulgę cierpiącéj ludzkości starają się przynieść. Wspominaliśmy w swoim czasie o szczęśliwym pomyśle dra Kosmowskiego urządzenia w Warszawie „Lecznicy dla przychodzących chorych." Obecnie pomysł ten pozyskawszy zatwierdzenie rządu wchodzi w fazę urzeczywistnienia, na następujących zasadach: 1. Lecznica przeznaczona jest dla chorych przychodzących w oznaczonych godzinach w celu otrzymania porady lekarskiéj. 2. Każdy z lekarzy należących do tego zakładu winien codziennie znajdować się w lecznicy w godzinach przyjęcia chorych—odpowiednio do chorób których leczeniu specyalnie się poświęca. 3. Każdy chory otrzymuje bilet wejścia kosztujący 25 kop. (50 groszy). 4. Jeśli choroba wymaga częstego przychodzenia do lecznicy, chory może wziąść abonament z 6 lub 10 biletów, po cenie 20 kop. (zł, 1 gr. 10). 5. Przy lecznicy znajdują się felczerzy. 6. Za niewielkie operacye robione w saméj lecznicy, za użycie podręcznych środków lekarskich lub narzędzi znajdujących się w Zakładzie—nie bierze się osobnéj opłaty. 7. Materyały niezbędne do leczenia, jako to: szarpie bandaże i t. p. dają się chorym w lecznicy po cenie kosztu. 8. Zakład podchodzi pod nadzor urzędu lekarskiego.

„Lecznica dla przychodzących" była oddawna niesłychanie pożądanym a będzie zapewne bardzo pożytecznym nabytkiem. Przystępność ceny za poradę lekarską będzie tu dobrodziejstwem nietylko materyalném dla niezamożnych pacyentów, ale wybawi ich z fałszywego stosunku do lekarza, wywiązującego się w tak zwanych godzinach bezpłatnego przyjęcia. Stosunek ten przykrym jest ze wszech miar dla obu stron: pacyent nie będący w stanie zapłacić rubla musiał względem lekarza zaciągać pewien obowiązek, nie płacąc nic; lekarz widzący u siebie pacyentów których skąpstwo gnało do niego w godziny dla biednych przeznaczone, czuł się nieraz skrzywdzonym; nareszcie nawał chorych téj kategoryi musiał koniecznie za sobą pociągnąć pobieżne traktowanie pacyentów i sumaryczne ułatwianie się z ważnemi nieraz chorobami. Taksa, choćby najtańsza wygłoszona jawnie, publicznie, stawia od razu obie strony na gruncie umowy, w któréj przysługa żądana, oddaje się za umówione z góry wynagrodzenie.

* * *

Jednocześnie prawie z przyjściem do skutku tego pomysłu zajmującego się niemocami przemijającemi,—dowiadujemy się o nowym projekcie pana Popłońskiego, który uzyskał od JW. Namiestnika w Królestwie polskiém pozwolenie na założenie „Towarzystwa w imię miłości bliźniego." Każdy łatwo się domyśli że „Towarzystwo" owo jest tylko rozszerzeniem działalności niezmordowanego Dyrektora Instytutu Głuchoniemych i ociemniałych, który z wytrwałością prawdziwie obywatelską dąży do zapewnienia jak najtroskliwszéj opieki istotom trapionym tak strasznemi organicznemi niemocami jak: ślepota i głuchoniemota. Do licznego i tak niestety zastępu swoich upośledzonych wychowańców, pan Popłoński zaciągnąć jeszcze zamierza idyotów i epileptyków,—tych ostatnich jednak o tyle tylko o ile epilepsya połączona będzie z głuchoniemotą, ślepotą lub idyotyzmem. Według obszernego programatu Towarzystwa mają być zakładane w Warszawie i innych miejscowościach kraju tutejszego: pensye i szkoły dla głuchoniemych; ochronki dla małych dzieci głuchoniemych do czasu dojścia ich do wieku, dającego im możność zajmowania się nauką i rzemiosłami; sale pracy z przytułkiem dla głuchoniemych i ociemniałych panien opuszczających Instytut warszawski po ukończeniu w nim całkowitego kursu nauk; domy schronienia i warsztaty dla dorosłych ociemniałych, którzy utracili wzrok po wyjściu z wieku dającego prawo do pobierania nauk w Instytucie warszawskim; przytułek dla głuchoniemych i ociemniałych starców nie mogących oddawać się pracy fizycznéj; zakład wychowawczy dla idyotów; przytułek dla idyotów nieuleczonych i epileptyków; dom poprawy dla zdrożnych głuchoniemych i ociemniałych.

Zadanie Towarzystwa jak widzimy z programu, piękne. Jeżeli „Towarzystwo" przyjdzie do skutku,—nieszczęśliwe istoty którym natura od mówiła najwyższego dobra, bo możności samodzielnego stąpania po trudnych ścieżkach żywota znajdą w każdéj chwili i na każdym kroku wyciągniętą rękę z pomocą,—a jaką jest ta pomoc, świadczy o tém chlubny rozgłos jakiego wszędzie za granicą używa Instytut głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie. Projekt p. Papłońskiego ma być w krótce ogłoszony, a tem samém oddany pod publiczną ocenę.

* * *

Jeżeli sama nazwa „Towarzystwa w imię miłości bliźniego", określa już naturę i cel instytucyi nie można tego powiedzieć o „Spółce zjednoczonéj pracy kobiet". Zdawało by się że wyraz „spółka" powinienby dostatecznie objaśnić publiczność jak się ma zapatrywać na ów zakład, liczne jednakże reklamacye i zapytania dowodzą że istnieją pod tym względem nieporozumienia i wątpliwości. Pochodzi to zdaniem naszem ztąd że „Spółka" nie wystąpiła dotąd od siebie z żadnym dokumentem któryby jako urzędowy uważać można. Niedość widocznie jasny podział osób należących do „spółki" na spólniczki udziałowe, uczestniczki i pracownice stałe, naraża kobiety pragnące przystąpić do „spółki" na przykre nie raz nieporozumienia, którychby przy jasném postawienieniu kwestyi łatwo uniknąć można. Z kilku znanych mi faktów téj natury przytoczę tu jeden. Młoda mężatka pragnąca przyjść w pomoc mężowi postanowiła zapisać się na stałą pracownicę, spodziewając się że złożenie 5 rubli i okazanie prób swego uzdolnienia w robotach igłowych, da jéj możność

Dalszy ciąg w dodatku.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA” Nr. 86-go.

brania roboty do domu. Zgłosiwszy się w tym celu do znanego zakładu na rogu ulicy Marszałkowskiéj i Chmielnéj otrzymała odpowiedź, że jedynie za złożeniem 15 rubli przyjętą będzie.

— Ależ ja nie życzę sobie być uczestniczką lecz pracownicą stałą.

— Takie przyjmujemy tylko w *ostateczności*, gdy są *bardzo biedne*.

Młoda kobieta miała chęć zapytać się gdzie się zaczyna ta *ostateczność*, i jak się poznaje *bardzo biedne*, czy po odzieniu czy też po fizyognomii- ale ograniczyła się na uczynieniu uwagi że pisma mówiąc o „pracownicach stałych” nic o tym warunku nie wspominały.

Osoba zagadnięta w ten sposób zmięszała się i poradziła zasięgnięcie rady u saméj założycielki, która najlepiéj wątpliwości rozjaśni.

Młoda kobieta usłuchała rady, ale nic nie wskórała. Najprzód próbowano ją odesłać do kantoru po informacyę, ale na wzmiankę że kantor właśnie odesłał ją do saméj założycielki, od powiedziano jéj że *pięciorublowych* pracownic nie przyjmuje się wcale,—a nawet i *piętnastorublowe* dopiero od nowégo roku przyjmowane będą. Na uwagę że pisma o tém nie wspominały, odpowiedziano że „spółka” nie jest instytucyą filantropijną lecz „interesem przemysłowo handlowym.”

— Ja też nie przychodzę domagać się pomocy filantropijnéj,—ale opierając się na ogłoszeniach, za swoje pieniądze pragnę zostać stałą pracownicą zakładu.

Tu interesentka otrzymała odpowiedź z pewną już niecierpliwością udzieloną: że *zresztą* zakład przyjmuje tylko jak najzdolniejsze pracownice.

Nastręczają się tu obecnie następujące zapytanie. Czy okoliczność że „spółka zjednoczonéj pracy kobiet” jest interesem przemysłowo handlowym, uwalnia ją od ogłoszenia drukiem decyzyi wbrew przeciwnéj ogłoszonym pierwotnie przepisom, kiedy zawiązek spółki był publicznym,—odwoływano się nawet przy jéj tworzeniu do współczucia publicznego należnego tylko instytucyom użyteczności publicznéj — i wzywano publicznie do współudziału. W takich warunkach pozbywać się wezwanych w ten sposób interesentek przez ustne komunikowanie *prywatnych* uchwał „spółki” jest uchybieniem przyjętéj od początku zasadzie jawności. Wartoby także aby „spółka” wytłumaczyła publiczności: jaką mianowicie pracownicę uważa za *najzdolniejszą* i godną przyjęcia, jeżeli z góry odbiera jéj możność złożenia dowodów zdolności! Nareszcie pozwolimy sobie zrobić ostatnią uwagę, że bez względu na filantropijno czy handlowo-przemysłową naturę „spółki,” — interesentki nie mają obowiązku otrzymywać informacyj w *przedpokoju* jak to właśnie miało miejsce z ową mężatką w mieszkaniu założycielki. Uprzejmość jest tak samo wynikiem głęboko odczutego miłosierdzia, jak dobrze zrozumianego interessu — a jeżeli sama okoliczność że ktoś przychodzi starać się o pracę naznacza mu już z góry przedpokojowe stanowisko społeczne, — pytamy się co znaczyły humanitarne frazesa z któremi spotykamy się w pierwszych ogłoszeniach „Spółki zjednoczonéj pracy kobiet?”

* * *

Kwestyą spółek i stowarzyszeń zakończemy wiadomością z mławskiego o posiedzeniu odbytém w Mławie w celu ułożenia ustawy projektowanego już od lat trzech „Towarzystwa spożywczego i Kassy pożyczkowéj”. Prezydował na zebraniu p. Władysław Dębski z Krzywonosi. Po wysłuchaniu stosownego przemówienia prezydnjącego, przystąpiono do rozbioru każdego po szczególe paragrafu projektu, który po zaprowadzeniu w nim zmian uznanych za potrzebne, został przyjętym przez zgromadzenie. Projekt ten obecnie już w ustawę zamieniony, wkrótce do zatwierdzenia władzy przedstawiony zostanie. Z liczby bowiem stu członków których przystąpienie wedle § 33 ustawy jest koniecznem aby Towarzystwo działanie swe rozpocząć mogło, w przeciągu dwóch dni przeszło pięćdziesiąt zapisało się na listę. Tak pomyślny początek dobrze wróżyć się zdaje o przyszłości nowéj instytucyi, — byle tylko instytucya ta nie okazała się tak drażliwą na uwagi prasy, jak jéj warszawska macierz.

* * *

A ta prasa ma jednak dobre swoje pomysły. Oto „Przyroda i Przemysł” podniosła myśl urządzenia instytutu politechnicznego siłami prywatnemi, — a „Przegląd Tygodniowy” doniósł już nawet że myśl ta jest na drodze urzeczywistnienia, grono bowiem młodych inżynierów wypracowało projekt szkoły technicznéj prywatnéj o kursie dwuletnim „zadaniem któréj ma być przygotowanie ludzi ze średniem wykształceniem na konduktorów inżynieryi, budownictwa i w ogóle na techników wykonawców”. Spór obu tych pism o nazwę projektowanego zakładu, o miano *niższéj* lub *wyższéj* instytucyi naukowéj, nic tu nie stanowi skoro tylko zakład odpowiadać będzie najistotniejszym potrzebom naszéj społeczności, która nie wie co robić z młodem uczącem się pokoleniem. Przy opłakaném przeludnieniu dwóch ujść pozostałych jeszcze dla zdolności młodzieży, w obec wiszącéj nad nami groźby proletaryatu intelligencyi, który rekrutuje się z młodych ludzi kończących uniwersyteta bez nadziei zużytkowania nagromadzonéj nauki,—otwarcie nowych ognisk pracy i to pracy która dziś największy pożytek krajowi przynieść może, prawdziwém będzie dobrodziejstwem. Na równe uznanie zasługuje projekt podany przez Kuryer Warszawski założenia prywatnego gimnazyum w Warszawie. Niedawno byliśmy świadkami smutku nieledwie rozpaczy z jaką mnóstwo rodzin kołatało, napróżno niestety—do drzwi gimnazyów rządowych. Przepisana liczba uczniów na każdą klassę w okamgnieniu skompletowaną była a całe zastępy dzieci powracały do domu z powodu braku miejsca w szkołach publicznych. Przy tak niedostatecznéj liczbie zakładów naukowych rządowych, jedynie prywatna inicyatywa może zaradzić złemu i dać młodzieży szkolnéj możność ukończenia kursów gimnazyalnych. Do takiéj to inicyatywy prywatnéj, na którą zezwala obowiązująca dziś w Królestwie ustawa o wychowaniu publiczném, odwołuje się Kuryer Warszawski dowodząc słusznie, że pożytek z prywatnego średniego zakładu naukowego byłby podwójny: znalazłaby w nim pomieszczenie i młodzież żądna kształcenia się, i ten zastęp ludzi pragnących poświęcić się nauczycielstwu a niemogących tego obecnie uczynić z powodu braku miejsc wakujących. Szczegóły dotyczące gmachów w którychby mogły się mieścić dwa gimnazya (jedno klassyczne i jedno realne)—jak również kwestya budżetu,—mogą ulegać i ulegną naturalnie krytyce—to jedno tylko nie ulega wątpliwości, że dwa źródła przedstawiają się wyraźnie, mogące dostarczyć funduszu na urzeczywistnienie tego projektu: ofiary prywatne i kassa miejska. Sądzimy że nie będzie to z naszéj strony zbytnim optymizmem, jeśli pozwolimy sobie liczyć na oba te źródła. Społeczność nasza, zaczynająca coraz jaśniéj pojmować jaką dźwignią moralną jest wykształcenie nie poskąpi zapewne ofiar zabezpieczających przyszłość jéj dzieci,—zarząd zaś miejski udogodniający i upiększający miasto, nie cofnie się też zapewne przed pewną roczną subwencyą, tém więcéj, że wszędzie municypalności mają sobie za obowiązek a nawet za zaszczyt popierać materyalnie sprawę oświaty.

* * *

Wspomnieliśmy wyżéj iż kierunek przemysłowo handlowy i specyalny w wykształceniu młodzieży uważamy za najodpowiedniejszy w obecnéj chwili potrzebom kraju. Jako znaczący symptomat tych potrzeb uważać należy mnożenie się pism specyalnych lub też traktujących racyonalnie kwestye z przemysłem i handlem związane. Mamy przed sobę dwa numera „Tygodnika przemysłowo handlowego wychodzącego pod redakcyą P. S. Czarnowskiego, i pierwszy numer „Gorzelnictwa piwowarstwa i cukrownictwa” redagowanego przez p. Holewińskiego. Pierwsza z tych publikacyj w dwóch wyszłych już numerach zawiera prócz odezwy od redakcyi, gruntownie skreślone przeglądy polityczno-finansowe sprawozdania tygodniowe o tutejszym handlu zbożowym i korespondencye handlowe, artykuł p. n. Byt ekonomiczny i nasze gospodarstwo społeczne, artykuł p. t. Zwrot akcyzy i cło od cukru, rozbiór Encyklopedyi Rolnictwa,—artykuły: „Gdańsk w roku 1871/2” „Ubezpieczenie wartości rzeczowéj przeciwko klęskom ogniowym,” „Postępy piekarstwa,” Rozmaitości, losowanie i kursa giełdy warszawskiéj. W dwóch tych numerach tygodnika przebija dbałość i sumienność redakcyi i dążenie stanięcia na stanowisku organu poważnie reprezentującego interesa naszego handlu i przemysłu. Prace zawarte w Gorzelnictwie p. Holewińskiego odznaczają się popularnością wykładu dostępnego nawet dla niespecyalistów, co dwutygodnikowi temu zapewnić powinno spory zastęp prenumeratorów między właścicielami browarów i gorzelni w całym kraju.

* * *

Obok tych wydawnictw peryodycznych zaznaczyć nam wypada zapowiedź mającego wychodzić rozgłośnego dzieła Drapera „Dzieje umysłowego rozwoju Europy,” którego przekładu dokonał znany już z pożytecznéj swéj działalności na polu historyczném p. Tadeusz Korzon. Tłómacz oddaje prawdziwą przysługę nauce przyswajając nam tę znakomitą pracę w któréj teorya rozwoju ludzkości oparta jedynie na podstawach fizycznych i fizyologicznych wydaje się niejednokrotnie zbyt jednostronną,—ale która niemniéj jest niepospolitym przyczynkiem do badania dziejów metodą pozytywną. Dzieło Drapera wyjdzie w dwóch tomach (zeszytami pięcio-arkuszowemi) kosztować będzie 4 Rsr.

Wspomniawszy o uczoném dziele myśliciela amerykańskiego, mówić następnie o „Pamiętniku Teatrów Warszawskich” p. Stanisława Goślickiego,—będzie to może zbyt niespodziane przejście do objawów życia zupełnie innéj natury. Po bliższem zsstanowieniu się, szanowny czytelniku,—nie uznasz tego za skok tak gwałtowny. Skromna książeczka którą wyżéj wymieniłem, zawiera po największéj części tylko cyfry, niemniéj jednak cyfry te odgrywają ważną rolę w każdéj „historyi cywilizacyi” bo wykazują jak się dana społeczność bawi. Natura, pewien kie-

runek zabawy ściśle są z naturą społeczności związane: przeczytajcie np. w „Revue des deux mondes" wyborne studya nad humorystami amerykańskiemi, a przybędą wam do oceny yankesów dane nierównie ważniejsze aniżeli wiele bardzo głębokich wywodów.

Z Pamiętnika Teatrów Warszawskich za rok 1871 dowiadujemy się tedy między innemi, że na wszystkich przedstawieniach w teatrach: wielkim, rozmaitości, letnim i w Łazienkach było w ciągu roku 1871 osób 326,521 czyli przecięciowo osób 549 na każdém. Wziąwszy na uwagę znaczną ilość ludności nie zamieszkującéj stale Warszawy, a z drugiéj strony wiedząc że znaczny procent z powyższéj liczby widzów po kilka a nawet po kilkanaście razy do roku bywa w teatrze,—otrzymamy dość skromny stosunek osób szukających zabawy w teatrach. Przyczyną tego objawu nic innego być może, tylko układ repertuaru,—co zresztą w zupełności w tymże pamiętniku potwierdza się cyframi: dzieł scenicznych nowych odegrano w roku zeszłym: 20 wznowiono zaś dramatów i komedyi 10 (w téj liczbie nie ma ani jednego dzieła oryginalnego). Stosunek wznowień do rzeczy nowych bardzo wymownie występuje przeciw niedołęztwu repertuaru, znajdując jeszcze poparcie w takich cyfrach jak 25-razowe powtórzenie „Grzeszków babuni" 16-krotne pojawienie się wodewilu „O chlebie i wodzie;" 14-krotne uraczenie publiczności „Czułą struną" graną już w zaprzeszłym roku niewiem wiele razy. Smutnym niezmiernie symptomatem jest malejący z każdym rokiem stosunek sztuk oryginalnych granych w naszych teatrach. Przyczynę téj przewagi dzieł obcych na naszych scenach, wtedy dopiero dokładnie określić by można, gdyby „Pamiętnik Teatrów" wprowadził rubrykę sztuk oddawanych do Biblioteki teatralnéj z datą wręczenia ich reżyseryi. Wystawienie np. „Epidemii" Narzymskiego jest ściśle biorąc faktem nie należącym do 1871 r.—sztuka ta bowiem odleżała się w bibliotece skandaliczną ilość miesięcy, licząc od chwili nadesłania jéj reżyseryi.

Nareszcie pożądanem dopełnieniem „Pamiętnika" byłby budżet teatrów, a najciekawszą w nim pozycyą opera włoska. W cyfrach téj pozycyi odszukać by się dała tajemnica niejednéj emigracyi artystów opery miejscowéj i w ogóle opłakanego jéj stanu w chwili obecnéj.

* * *

Teatr tymczasem wstępuje w fazę tak zwanych „miesięców kasowych". Pora obecna więcéj może sprzyja widowiskom scenicznych aniżeli zima obfitująca w bale, wieczory i cały szereg najrozmaitszych zabaw po domach prywatnych. To też zanim falanga koncertantów tłoczyć się zacznie na estrady w obu resursach, w salach redutowych, zanim zastęp prelegentów zabierze się do nas na seryo jak do rozweselonych letniemi pustotami żaczków,—teatr panować będzie samowładnie, przypuszczając tylko pobłażliwie kiedy niekiedy do rywalizacyi... Towarzystwo muzyczne. Pierwsze oznaki życia tego towarzystwa nie były dotąd zbyt silne... mówimy tu o ilości zgromadzonych słuchaczów Publiczność nasza potrzebuje do wszystkiego rozmachu... raz się rozpędziwszy... najczęściéj się zapędza... ale zawsze biegnie prędkością nabytą. Do rozmachu tego przeszkadza może po trochu przykra konieczność uiszczenia opłaty za przyszłe półrocze... zawsze ten *nervus rerum!* Bądź co bądź jeden tylko wieczór urozmaicony deklamacyą liczniéj zgromadził publiczność. Pani Modrzejewska wypowiedziała na nim dwie poezye Asnyka, „Czary" i „Wątpliwość", i tak dalece zachwyciła słuchaczów, — że Towarzystwo muzyczne rade nie rade będzie musiało częściéj teraz pomyśleć o takiém ożywieniu swoich artystycznych programatów.

* * *

Odczyty zaczęły się w tym roku pod nader szczęśliwą gwiazdą. Przed publicznością zgromadzoną w salce teatralnéj w Dobroczynności, p. Felicyan Falenski, kreślił śmiałemi, dosadnemi rysami postać Petrarki. Był to jeden z tych odczytów z któremi rzadko niestety przychodzi nam się spotykać, treścią swoją bowiem uczył wielu, formą zachwycał wszystkich zostawiając po sobie wrażenie całości artystycznie wykończonéj. Petrarka stanął wyraźnie przed zainteresowanemi słuchaczami, na tle ówczesnych stosunków politycznych i społecznych, które prelegent gruntownie zbadawszy, o tyle przed oczy publiczności przywoływał, o ile to było potrzebnem do uwydatnienia postaci śpiewaka Laury. Najbardziéj zajmującą częścią odczytu było dobadywanie się znaczenia saméj Laury w poezyi Petrarki, analiza natury miłości średniowiecznéj i zestawienie sprzeczności między platonizmem jako siłą twórczą w poezyi niektórych śpiewaków owego czasu, a panującą w społeczeństwie brutalnością instyktów graniczącą z wyuzdaną rozpustą.

Pod względem języka odczyt p. Faleńskiego do wzorowych zaliczonym być może. W obec opłakanego i coraz bardziéj szerzącego się skażenia języka, szczególniéj w naszéj publicystyce, odczyt o „Petrarce" działał prawdziwie orzeźwiająco, potrącając struny najharmonijniéj dźwięczące w naszéj mowie, a oddawna już dla uszów naszych zamilkłe.

Prelegent nie skończył traktowanéj przez siebie materyi; całość zamkniętą zostanie w drugim odczycie w którym p. Faleński mówić ma o upadku tak zwanéj *gaie science* trubadurów jako stanowiącéj w pewnym stopniu pierwiastek składowy w poezyach Petrarki, i rozbierze szczegółowo te poezye objaśniając wykład cytatami we własnym przekładzie.

* * *

Jeden z niepospolitych pomników naszego języka, biblia w tłómaczeniu księdza Wujka, doczekała się wydania... z illustracyami Dorégo. Piękne to wydawnictwo przedsięwziął p. Michał Glücksberg i zamierza rozpowszechnić je między naszą publicznością po przystępnéj cenie 50 kop. (zł. 3 gr. 10) za zeszyt zawierający od 3 do 4 rysunków. Illustracye w ogólnéj liczbie 230 pochodzą wszystkie z wydania francuzkiego—a o znaczeniu ich pod względem sztuki nic dodawać nie potrzebujemy, bo nie ma chyba czytelnika któryby niepospolitego talentu Dorégo nie podziwiał choćby tylko w kliszach które Tygodnik Illustrowany dołączył do Kraszewskiego studyum nad Boską komedyą. Wydawnictwo całe złożone z 62 zeszytów ma być ukończone w Kwietniu w 1875 r.

LUDY KAUKAZU I KAUKAZ.

(Z BODENSTEDTA).

Dokończenie. (Ob. Nr. 85).

Książęta i znakomitsza szlachta byli właściwymi posiadaczami ziemi; inni trzymali od nich grunta jako lenność, oddając za nie kilka sztuk bydła i część zbioru. Rolnictwo i rzemiosła na tak nizkiéj stopie jak u Abchazów. Czerkiesy nie żyją żeby pracować, pracują tylko, żeby żyć. Głównem bogactwem mieszkańców są woły i trzody owiec.

Chłopi obowiązani są do pewnych służebności względem szlachty, jednakże mogą być od nich uwolnieni. Książęta nieraz wieśniaków swoich plemion mianują uzdenami.

Jak u wszystkich plemion Kaukazu tak i u Czerkiesów, zemsta krwi jest najwyższém prawem. Wprawdzie rodzina zamordowanego bez ujmy honoru może pojednać się z mordercą, który na zgodę wypłacił przepisaną cenę krwi, ale podobne spokojne załawienia wydarzają się bardzo rzadko, a dotrzymują jeszcze rzadziéj. Jeżeli jednak uda się zbójcy ukraść nowonarodzone dziecię z domu swego śmiertelnego nieprzyjaciela i wychować je tajemnie, w takim razie już zemsta krwi jest zupełnie zaspokojona. Jak tylko wychowane dziecię powróci ojcu, nienawiść zapomniana i wieczna zgoda zaprzysiężona.

Jeżeli uzden zabije umyślnie lub przypadkowo cudzego chłopa, musi za niego dać jako barant (na pojednanie, wynagrodzenie szkody) 9 jassyrów czyli jeńców; jednak to nie zastawia go od przekleństwa i zemsty krwi.

Jeżeli ktoś zostanie przekonany o kradzież lub złapany na niéj, musi w jasny dzień osobiście odnieść właścicielowi przedmiot skradziony, a za karę dać dwa woły swojemu Uzdenowi.

Osobiste zwrócenie kradzieży jest najprzykrzejszą karą, jaka może dotknąć Czerkiesa, bo za nią idzie pośmiewisko całego aułu, nie za kradzież popełnioną, ale za niezręczność. Kradzież u Czerkiesów tak uważana jak niegdyś w Sparcie. Zręczny złodziéj przechwala się z dumą ze swojego rabunku, tylko niezręcznego dotyka publiczna pogarda. W ogóle w życiu ludowém Czerkiesów napotykamy niejeden zarys przypominający żywo obyczaje dawnéj Sparty. Czerkiesy nie stawiają nigdy domów z kamienia, lecz z drzewa lub lekko plecione, albowiem ukrywanie się za murem uważają za niegodne mężczyzny, ktory powinien ufać sile swojego ramienia.

Bezżeństwo uważają za hańbę, i bezżeniec w dojrzałych latach jest celem żartu współplemiennych.

Narzeczony przemocą musi uprowadzić wybraną, otrzymawszy pozwolenie rodziców po złożeniu umówionéj ceny kupna, powinien ją bronią (rozumie się pozornie) wywalczyć z rąk rodziny. Zwyczaj ten panuje u wszystkich ludów Kaukazu. Wszystkie stany bez wyłączenia są z najwyższém poszanowaniem dla podeszłego wieku, które pomiędzy niektóremi członkami rodziny zachowywane jest z wielką surowością. Młodszy brat powstaje kiedy starszy wchodzi, milczy, kiedy starszy mówi i tylko wezwany przemawia.

Otyłość jest poniżeniem, skazą, tak u mężczyzn jak u kobiet. Oprócz ślepoty wszystkie ułomności ciała mało współczucia znajdują w góralach. Ludzie w tuszy i tacy, których powierzchowność może stać się przedmiotem żartu lub nagany, unikają publicznych uroczystości i zebrań ludu.

Nauki i sztuki piękne, zaniedbane. chociaż ludność Kubanu i Dagestanu ma swoją własną mowę pisaną. Tylko poezya i muzyka, te dwie pocieszycielki ludzkości, nie dały się wystraszyć szczękiem broni, odgłosem wojen i wspaniałą ale dziką naturą kraju, przed któremi dotąd chronią sie wszystkie inne sztuki piękne. Poezya która, zwłaszcza będąc w kolebce, w muzyce koniecznie szuka natchnienia, stała się potrzebą zarówno ludzi najprostszych i najgrubszych obyczajów, jak i najwykształceńszych europejczyków. Jak niepodobna wyobrazić sobie bez śpiewu ptaków, tak dzielnego ludu bez poezyi.

U Czerkiesów poezya jest zarazem mądrością ludu, bodźcem do wielkich dzieł, oraz najwyższym sędzią na ziemi. Przesuwa się po dolinach, przepaściach przesiąkłych krwią pomiędzy plemionami Kaukazu, lub jak uśmiechające się dziecię, które w laurowych lasach kraju, wije wieńce na skronie bohaterów, lub jak karząca bogini z pochodnią zemsty, która na obliczu tchórzów i złoczyńców wypala piętno pogardy.

Ta myśl nieśmiertelnego życia uświęcona pieśnią, przejmuje Czerkiesów bohaterskiém męztwem i powstrzymuje od nikczemnych i niegodnych postępków. Poezya odgrywa tu tę samą rolę, jak niegdyś a Greków, Arabów, słowem u wszystkich ludów będących jeszcze w pierwszem stadyum umysłowego rozwoju. Gdzie zatém poezya jest objawicielką wszystkich duchowych zdobyczy ludu, tam każda pieśń zawiera w sobie ożywioną cząstkę jego życia, a poznanie jednéj podobnéj pieśni dla myślącego przyjaciela poezyi, zda się nam ważniejszém niż opis stu bitew. W téj myśli przytaczamy w wolnym przekładzie jednę z najznajomszych pieśni Czerkiesów, w przekonaniu, że wywoła przyjazne zdanie o tym ludu w którego piersiach się zrodziła.

Pieśń Czerkiesów nad poległym.

W głębokim żalu mężowie Dszigé.
Śpiewów żałobnych brzmią w koło tony,
Bo najdzielniejszy z ludu Adighé
Już poległ, Pszuguy nieustraszony.
Lubo chłopięciem był jeszcze laty,
Lecz w boju nie miał równego sobie;
Nic nie nagrodzi okropnéj straty,
Ostatni z rodu spoczywa w grobie!

* * *

Już Pszuguy poniósł śmierć bohatera,
Krew jego jeszcze rumieni ziemię;
Już nas odwagą, radą nie wspiera
Zginął ratując Adighów plemię.
Przez dym i strzały w wojennym szlaku
Drogę torując sta wrogów naciął;
Na poświęconym pędząc rumaku
Zmierzyć się z wodzem swych nieprzyjaciół.

* * *

Krwawy aksamit kryjący ciało
Ogniem oblokły słońca promienie,
Lecz jeszcze jaśniéj groźniéj pałało
Oko i miecza krwawe błyśnienie.
Kiedy koń pod nim nieżywy pada,
Nieprzyjaciela rażony ciosem,
Pszuguy po trzykroć inne dosiada,
Lecz serce jednym tętniło głosem.

* * *

Wszystko w około miecz jego kruszy
Tysiącem śmierci swe przejście znaczy;
Dzisiaj sam leży martwy bez duszy
I tylko słychać okrzyk rozpaczy.
Dla bohatera chlubną nagrodą
Żal, płacz, powszechne ludu cierpienie,
Lecz łzy przyjaciół są tylko wodą
Ale łzy siostry to krwi strumienie.

* * *

Z śnieżnych jéj ramion po cudném łonie
Drżąc spływał miękki włos hebanowy
Który na wieść o Pszuguya zgonie
Z okropnym krzykiem wydarła z głowy.
Matka ją ciesząc, rzecze w spokoju:
Złóż Allachowi pokorne dzięki,
Że poległ śmiercią rycerza w boju,
Nie jako złodziéj lecz z wrogów ręki"

* * *

Śpiewak ze smutkiem w struny uderza,
Lud przy pogrzebie słucha go z trwogą;
Jęk się wtórzących kobiet rozszerza
Płaczą Pszuguya stratę zbyt drogą,
W głębokim żalu mężowie Dszighe.
Śpiewów żałobnych brzmią w koło tony,
Bo najdzielniejszy z ludu Adighé
Już poległ Pszuguy nieustraszony.

Przymiot, który pierwotnie był udziałem wszystkich ludów, którego zaród natura zaszczepiła w każdém sercu, jest głownym zarysem charakteru Czerkiesów: gościnność.

Ta piekna cnota będąca pierwotném źrodłem wszelkiego zbliżenia się, kamieniem węgielnym w budowie całego społeczeństwa, znika coraz bardziéj z ucywilizowanego świata; u Czerkiesów uważa się dotąd za święty obowiązek. Podróżny ubogi czy bogaty, znakomitego lub nizkiego stanu, przyjęty bywa wszędzie z nieudaną życzliwością. Wszyscy powstają na jego przyjęcie, ofiarują mu pierwsze miejsce; gospodarz nie usiądzie dopóty, dopóki gość siedzieć go nie prosi. Pan domu własną osobą odpowiada za bezpieczeństwo gościa; nawet śmiertelnemu nieprzyjacielowi nie spadnie włos z głowy, dopóki nad nim czuwa opieka gospodarza domu.

Cnoty, któremi Czerkiesy wyróżniają się z innych plemion Kaukazu i Mahometanów, są: skromność i poszanowanie kobiet.

Kiedy życie rozwiozłe i zepsucie obyczajów panują po większéj części u wszystkich niemal ludów Kaukazu, zwłaszcza pochodzących od Turków i Georgian, Czerkies podobném zapomnieniem godności mężczyzny wystawiłby się na surową karę i pogardę wszystkich współplemiennych. Nawet dwużeństwo należy do rzadkich przejawów między pokoleniami Adighé; Koran pozwala na nie, ale zabraniają obyczaje.

Przy związkach małżeńskich Czerkiesy strzegą pilnie równości urodzenia; narzeczeni mogą być różnoplemienni, ale równi stanem. Nim młody Czerkies wybraną przez siebie wprowadzi do swojego domu, musi wypłacić umówiony okup (u Kubanów *kalym* u Dagestańskich *kābin* zwany). Okup ten zwykle zastosowany do majątku żeniącego się, który umawia się o niego z ojcem narzeczonéj. Płacą go w pieniądzach, wołach, owcach lub t. p. Aby lżejszą uczynić tę wypłatę częstokroć zbyt uciążliwą, młodzi ludzie mający się połączyć zapraszają na uroczystość zaręczyn najbliższych krewnych i przyjaciół, którzy według zwyczaju muszą dać jakiś podarunek młodéj parze. Jeden przypędzi wołu, drugi parę owiec, inny przyniesie koszulę lub sztukę materyi, lub t. p.

Po dopełnieniu wszystkich przepisanych warunków, narzeczony powinien uprowadzić wybraną z ojcowskiego domu. Porozumiawszy się ze służbą, dostaje się do poświęconego gmachu, gdzie panna młoda przybrana w kosztowne stroje, zasłoniona białą iszadrą od stóp do głowy wyczekuje swojego uwolniciela. Im bardziéj opiera się i jęczy przy uprowadzeniu, tém zaszczytniéj dla jéj skromności i niewinności. Zwykle przy wejściu narzeczonego wydaje krzyk, i tak długo się mocuje, aż przybiegną bracia lub krewni. Z tego wywiązuje się pozorna walka, która trwa dopóki czuwającym przede drzwiami przyjaciołom nie uda się porwać zdobyczy i uwieźć ją na dzielnym rumaku. Weselne obrzędy odbywają się w każdém nieledwie plemieniu według przyjętego zwyczaju; u Czerkiesów wyznawców Mahometa w ten sposób:

Naprzód śpiewa mułła (jeżeli jest w miejscu) kilka wierszy z Koranu; następnie młodéj parze i pokrewnym składają podarunki, potém zaczyna się biesiada, w czasie któréj odurzający napój buza (z miodu i prosa) pierwszą gra rolę. Po biesiadzie rozpoczynają się wojenne igrzyska które rzadko kiedy odbywają się bez krwi rozlewu; a zdarzało się niejednokrotnie, że w zapale walki, jeden z walczących zostaje na placu. Podobny wypadek uważają za złą wróżbę dla nowo-zaślubionych.

W końcu dla urozmaicenia i rozweselenia uroczystości, ukazuje się w różnobarwném ubraniu rodzaj poliszynela, który tysiącem żartów i sztuk zabawia gości. Z zachodem słońca zaczynają się tańce. Stary śpiewak grając wesoło na instrumencie podobnym do bałałajki, śpiewa piosenki ułożone na cześć nowo-połączonych i znakomitszych gości. Młodzież obojga płci staje we dwa rzędy naprzeciw siebie, w ruchach powabnych posuwa się naprzód i cofa klaszcząc w dłonie i śpiewając głośno przy każdym kroku. Potém wszyscy tańczący zbliżają się do siebie przy głuszącéj wrzawie klaskania, śpiewu i instrumentu. A gdy jeden z młodzieży wystąpi naprzód i wyszuka sobie młodą tanecznicę, milknie muzyka klaskanie i śpiew. Oczy wszystkich zwrócone na tańczących, którzy wykonywają taniec ludowy podobny do Lezginki. Dziewczę filuterném spojrzeniem przywabia do siebie młodziana; lecz zaledwie zwabiony przybliża się do niéj i chce uchwycić za rękę, wymyka mu się zręcznie i ucieka skacząc w około—on biegnie za nią, ona uchodzi jego pogoni. Zmęczoną tańczących parę zastępuje inna, zaczynając na nowo zabawę. Śpiewają przytém improwizowane zwrotki, które całe zebranie chórém powtarza.

Domowe pożycie Czerkiesów nader surowym ulega przepisom. Pocałowanie, ściśnienie ręki i tym podobne pieszczoty małżonków nie mogą się okazywać w obecności innych, nawet najbliższych krewnych. Zapytanie się męża o zdrowie jego żony lub córki uważają za rodzaj obrazy. Nawet krewne żony, w obec obcych, nie czynią podobnych zapytań.

Mąż nie ma najmniejszego udziału w towarzystwie które żona przyjmuje, również i żona nie miesza się do gości męża.

Koran zezwala na rozwód, ale rzadko bardzo słychać o rozłączeniu się małżonków. Przeniewierzenie się także do nadzwyczajnych należy wypadków; współplemiennicy pogardzają łamiącym wiarę. Zresztą każdy Czerkies jest samowładnym, nieograniczonym panem życia żony i dzieci; według własnego wyroku może je ukarać, nawet zabić, nie odpowiadając za to przed nikim. Samo podejrzenie przeniewierzenia się kobiety, jest wyrokiem śmierci.

U Czerkiesów i sąsiednich plemion panuje szczególny zwyczaj, który w wielu wydarzeniach nadaje kobiecie prawo stanąć w obronie mężczyzny. Jeżeli uciekający nieprzyjaciel wbiegnie do mieszkania kobiety i dotknie się jéj ręki, zemsta ścigającego dosięgnąć go nie może, dopóki znajduje się pod jéj dachem. Żadne spotkanie, żadna bójka, żadne spełnienie kary, nawet wszędzie dozwolona zemsta krwi, nie mogą być dokonane w obecności kobiety, lecz odkładają się do późniejszéj chwili. Jeżeli kobiety z rozpuszczonym włosem i odsłonioną twarzą rzucą się pomiędzy walczących, bój natychmiast ustaje; ale to tylko w zajściu jedno-plemiennych. W wojnie przeciw nieprzyjacielowi, żony zagrzewają mężów do boju, niosą za nimi żywność i potrzeby wojenne, i nieraz same porywają oręż w dłoń stając w szeregach walczących.

Dzieci, a szczególniéj chłopcy, niewychowują się w domu rodziców, lecz powierzane bywają zawsze obcym, aby nie nawykły do zniewieściałości i pieszczot. Tylko zupełnie biedni, trudniący się uprawą ziemi nie wojacką, zatrzymują dzieci przy sobie.

Przy wyborze atalika, wychowującego, mniéj uważają na jego stan zamożny, znakomite pochodzenie, więcéj na duchową wyższość, na odwagę, wymowę, zręczność w zawodzeniu koniem i robieniu bronią. Lubo atalikowie młodych książąt i uzdenów bywają powszechnie ludzie śre-

dniego stanu, wychowańcy przecież doszedłszy lat młodzieńczych, uważają ich za najbliższych krewnych domu. Atalik przyjmuje wychowańca z rąk rodziców częstokroć zaraz po urodzeniu, a najpóźniéj po odłączeniu go od piersi matki,—i dopiero gdy zostanie mężczyzną zwraca go rodzicom.

Wychowanie młodego Czerkiesa polega wyłącznie na ćwiczeniach wojennych, w całéj obszerności tego wyrażenia. Większą część dnia dnia chłopiec zajmuje się jazdą na koniu, robieniem bronią, strzelaniem, polowaniem i t. p., bo jedynym celem wychowania jest, aby był odważny, zręczny i przebiegły. Mówiliśmy wyżéj, że nawet kradzież jest dozwolona jeżeli zręcznie dokonana i nie w swoim aule. Gdy się powiedzie młodemu, że niedostrzeżony z obcego aułu przyniesie owcę, konia, krowę lub t. p., atalik jego tak się tém cieszy, jak gdyby mu przyniósł głowę nieprzyjaciela własną ręką zabitego. Że w wychowaniu młodego Czerkiesa nie myślą wcale o nauce i sztukach pięknych, tego domyślać się można; głównie zajmują się tém, aby mówił dobrze. Atalik od najmłodszych lat przyspasabia wychowańca swojego do wyrażania się krótko, zwięźle i szybko, aby kiedyś w radzie swojego pokolenia mógł zająć miejsce odpowiednie. Dla tego to częstokroć między Czerkiesami, którzy ani czytać, ani pisać nie umieją znajdujemy zadziwiającą łatwość wysłowienia. Byliśmy nieraz świadkami ich narad, i słuchając mówiących z prawdziwą przyjemnością godziny upływały nam jak minuty.

Patrząc na te piękne, zbrojne postaci, słysząc brzmienie pełnych ognia i zapału wyrażeń, zdawało nam się, że jesteśmy w gronie bohaterów Homera lub Ossyana.

Atalik ukończywszy wychowanie powierzonego mu młodzieńca, zajmuje się wyborem żony dla niego, i uczy go jak ma prowadzić przyszłą życia towarzyszkę.

Powrót do rodzinnego domu młodego Czerkiesa jest zwykle dniem szczególnych uroczystości. Ojciec przygotowuje wielką biesiadę połączoną z igrzyskami wojennemi, muzyką, tańcem, na którą zaprasza wszystkich krewnych i przyjaciół. Nadawawszy atalikowi mnóztwo zaszczytnych pochwał, uznaje go publicznie pokrewnym rodziny i ofiaruje podarunek w broni, koniach i t. p. Stosunki wychowańca z atalikiem pozostają zawsze ścisłe i niezmienne. W każdym wypadku, w każdéj ważnéj okoliczności młodzian szuka jego rady, pomocy, światła, wdzięczność wiąże go silniéj do atalika niż do własnego ojca.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

CHOLERA INDYJSKA.

ze stanowiska geografii medycznéj i hygieny międzynarodowéj.

przez p. Fernadna Papillona.

(Revue des deux mondes).

Przed niedawnym jeszcze czasem trzy ogniska choleryczne zagrażały Europie straszną epidemią. Dwa z nich zupełnie już prawie wygasły, lub przynajmniéj nie wzbudzają obawy; trzecie dotąd istnieje i nie budząc przesadzonych obaw, zasługuje przecież na blizkie rozpoznanie i wymaga czujnego nad sobą nadzoru. Pierwsze ognisko, które przez chwilę zagrażało nagłem wtargnięciu zarazy (jak to miało miejsce w 1865 r.) była to Arabia. Cholera srożyła się tam w r. 1871 w Medynie, a w obec zbliżającéj się epoki pielgrzymki pobożnéj, można było przypuszczać że chwila wielkiego nagromadzenia pielgrzymów, będzie też chwilą wybuchu gwałtownéj epidemii. Mekka i znaczne części Arabii zostały w istocie dotknięte zarazą; ale dzięki środkom przedsięwziętym przez administracyę sanitarną egipską, Egipt a zatem i Europa zabezpieczone zostały od klęski. Inne ognisko istniało w Konstantynopolu. W końcu listopada 1871 r. epidemia trwająca w tém mieście od dwóch miesięcy, srożyła się tam jeszcze w całéj swéj sile: liczono po 400 ofiar na tydzień; ale epidemia ta dziś znajdująca się w fazie zupełnego zesłabnięcia nigdy nie okazywała dążności do rozszerzania się, i śmiało rzec można że oprócz kilku miejscowości w niedalekim bardzo promieniu, całe wybrzeże morza śródziemnego nie ucierpiało od cholery trapiącéj Konstantynopol.

Ostatniém najniebezpieczniejszém ogniskiem jest Rossya. Po przerwie trwającéj prawie całe lato, cholera ukazała się znów ostatniego lata i nawiedza wszystkie okolice oblane przez Dniestr i Dniepr. Kijów i Odessa szczególniéj dotknięte zostały. P. Faurel, którego powaga w téj materyi nie ulega wątpliwości, nie waha się uważać w téj chwili Galicyi i Księztw Naddunajskich za zagrożone niebezpiecznie. Jeżeli cholera tam wybuchnie, będzie miała drogę szeroko otwartą do środka Europy przez dolinę Dunaju. Dwaj inni pisarze kompetentni, p. Tholozan lekarz francuzki przy dworze perskim i p. Pettenkofer, professor w Monachium, oświadczyli że cholera istnieje już we Francyi. Pojedyncze wypadki zdarzały się wprawdzie w Niemczech i we Francyi, ale nie miały na sobie cechy epidemicznéj. Cholera trwająca w Rossyi od lat czterech (niezbyt zresztą gwałtowna) umiejscowiła się tam zupełnie i nic nas nie upoważnia do wniosku że wtargnięcie jéj do Europy środkowéj jest nieuniknioném. Nie od rzeczy jednak będzie zastanowić się nad pochodzeniem, pochodem geograficznym, naturą, międzynarodowemi środkami ostrożności i leczeniem cholery:.. Niema, rzec można ani jednéj kwestyi w medycynie i hygienie którąby obok pewników ściśle określonych przedstawiała tyle tajemnic i sprzeczności.

I.

Cholera epidemiczna ukazała się po raz pierwszy w Paryżu 26 marca 1832 roku w poniedziałek. Cztery osoby mieszkające w czterech różnych dzielnicach, w tym dniu zachorowały i umarły w kilka godzin. Trzydziestego pierwszego marca, trzydzieści pięć dzielnic stolicy zostało dotknięte, a nazajutrz w całym Paryżu srożyła się epidemia. Chorzy podlegali wszyscy jednakowym objawom chorobowym. Dla lekarzy którzy mieli scharakteryzowane te objawy przez praktyków w krajach sąsiednich, stały się one nierównie lepiéj znanemi aniżeli symptomata innych chorób.

Jakim sposobem cholera dostała się do Francyi? W sierpniu 1817 r. srożyła się ona z nadzwyczajną gwałtownością Jesarze, zkąd ogarnęła wkrótce całą prowincyę Bengalu od ujścia Gangesu do spływu Jummy, w 1819 r. panowała w Indyach niższych w Sumatrze, w Ile de France; 1820 i 1821 r. zajęła całe Chiny, archipelag Filipiński, Jawę. Jednocześnie przedostawała się przez zatokę Oman, rozszerzała się wdłuż brzegów zatoki Perskiéj i przedarła się do Persyi. Pustoszyła długo ten kraj zanim zawitała do Europy. Nakoniec w 1823 r. wychodząc z Rechtu, w prowincyi Ghilon okrążyła brzegi morza Kaspijskiego i przeszła granicę rossyjską. W dniu 12 września tegoż roku dotarła do Astrachanu. Na krótko jednak tam się ukazała; ale w 1829 r. cholera która srożyła się ciągle na północy Persyi i w Afganistanie, zaniesioną została do Orenburga, potem do Tyflisu a następnie do Astrachanu, i tą razą zapanowała w całéj Rossyi. W dniu 20 września 1830 r. wybuchła w Moskwie gdzie panowała rok cały. Epidemia potem rozprzestrzeniła się do Kijowa przez wszystkie zachodnie prowincye Rossyi, aż do granic Królestwa Polskiego. Wojska odbywające wtedy kampanię w tym kraju, przyczyniły się do szerzenia się cholery, i wtedy to po raz pierwszy dostrzeżono fakt przenoszenia epidemii przez ruchy wojsk. W maju i czerwcu w 1831 r. dotknięte zostały Mołdawia i Galicya, w sierpniu Prusy; następnie przyszła koléj na Węgry, Transylwanią i brzegi Bałtyku. W styczniu 27-go 1832 r., cholera wybuchła w Edymburgu a 10 lutego w Londynie. Z wybrzeży angielskich, klęska zagroziła Francyi i Hollandryi. Piętnastego marca 1832 r. ukazała się w Calais, a 26 marca wybuchła po raz pierwszy w Paryżu. Epidemia trwała w stolicy pół roku; doszła do maksymum natężenia, 9-go kwietnia, w którym to dniu było 814 wypadków śmierci; pozostała w téj mierze przez kilka dni, następnie zaczęła słabnąć. Na 950,000 mieszkańców padło jéj ofiarą 18,400 osób. Z Paryża epidemia promieniowała we wszystkich kierunkach i ogarnęła prawie resztę Francyi. Emigranci angielscy przynieśli ją z innych stron do Portugalii i Hiszpanii. Do Włoch dostała się dopiero w 1835 r. Szwajcarya i Grecya wtedy ocalały. Pierwsze zatem wtargnięcie cholery, było powolne jak widać z poprzedniego rysu; epidemia potrzebowała dwudziestu lat do obejścia świata. Późniejsze pochody odbywać się będą śpieszniéj. Powiększona czynność transportowa, szybkość komunikacyi, dozwalają zarodkom cholery krążyć z zadziwiającą łatwością.

Między rokiem 1837 i 1847, Europa oswobodzona od cholery nie troszczyła się o nią wcale; ale lekarze, którzy pilnie śledzili za pochodem chorób, nie łudzili się ani na chwilę, i przepowiadali mniéj więcéj blizki powrót klęski azyatyckiéj. Epidemia trapiąca państwo birmańskie w 1842, następnie Afganistan i Tartaryę, dostała się do Persyi w 1845 r. Stamtąd rozeszła się w dwóch różnych kierunkach: ze wschodu na zachód, przez Bagdad i Mekkę, i od północy ku Tauris i prowincyom Kaukazkim. *(d. c. n.)*

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 12 (24) Октября 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand M. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.